

3150

WACŁAW FILOCHOWSKI

**ZIEMIA
DWAKROĆ OBIECANA**

NOTATKI Z PODRÓŻY DO PALESTYNY

PELPLIN

NAKŁADEM I CZCIONKAMI Drukarni i Księgarni Sp. z o. o.

1 9 3 7

ZIEMIA DWAKROĆ OBIECANA

WACŁAW FILOCHOWSKI

**ZIEMIA
DWAKROĆ OBIECANA**

NOTATKI Z PODRÓŻY DO PALESTYNY

PELPLIN

NAKŁADEM I CZCIONKAMI DRUKARNI I KSIĘGARNI SP. Z O. O.

1 9 3 7

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 22 69-78-773



Wa5163366



3150

44-6774

Trzy dni z „Chalucami“

Konstanca. Nareszcie! Chwiejny krok a w głowie huk po trzydziestu godzinach, spędzonych w pociągu.

Przy kamiennym bulwarze czeka na nas poczciwa „Polonia“. Duży, czarny jej kadłub, ozdobiony odświętnie mrowiem kolorowych żarówek, zewnątrz buchający światłem poprzez symetryczne kółka iluminatorów, nieruchomo leży na ciemnej wodzie. Ta obfitość światła sprawia wrażenie oczekującego nas dostatku i gościnności. Na trapie nieustanny ruch, płynący w górę i na dół. Ledwo ktoś się zjawi u skraju burty, wnet porywają go wraz z bagażem biało ubrani stewardzi i, zlekka omroczonego, prowadzą kurytarzami w głąb statku do numerowanych izdebek-kajut.

Na pokładzie pierwsze spotkania i znajomości. W grupie dziennikarzy żydowskich lekkie zdziwienie. „Cóż pan chce? Pierwszy transport emigrantów żydowskich do Palestyny linią polską. Zdarzenie niebyle jakie“. Pada wtedy czyjaś żartobliwa uwaga: „Eskorta honorowa, panowie“. Ani w uśmiechach, ani w słowach nie ma kolców, w atmosferze jest pogoda i pewna życzliwość i jeszcze coś więcej: najwyższy stopień zaciekawienia, które od tej chwili aż do powrotu na pokład w Jaffie zaostrzy słuch i wzrok uczestników wyprawy, i to w równej mierze Polaków jak i żydów.

Na dolnych pokładach wzrasta rozgwar. Zgórą pięciuset wychodźców wokalnie manifestuje

swą obecność w ogólnym poruszeniu. Z okrętu na bulwar i odwrotnie lecą sygnały porozumiewawcze lub alarmowe: „Jerzy, gdzie neseseer? Neseseer gdzie? Czy słyszysz, Jerzy? Ne-se-ser. Słyszysz? Iser wu is neseseer?“.

Ciepła noc czarnomorska, zgiełk i smolisty odór sadzy. Z kuchni okrętowej płyną obłoki zapachów, działające na wyobraźnię kulinarną jak mocny „aperitif“. Z tych ciągów i dymków ktoś już odcyfrował zagadkę wieczery: „Panowie, czuję sandacza po polsku i paprykarze cielece“. Ktoś inny referuje uroki podróży od strony płynnej. „Na pełnym morzu nie masz ani koncesyj, ani monopolu — wyszynk po cenach hurtowo-eksportowych. Dość powiedzieć: koniaczek sześćdziesiąt groszy“. Jakaś jasnowłosa pani spogląda żałośnie na swego męża, którego te wieści niesłychanie zaciekały. „Nim wysiądziemy na ląd, wszystko wymienisz na koniak i whisky. Taki tani bar to kłeska nasza, to ruina wszystkich planów wycieczkowych“.

Ostatnie poryki syren okrętowych. W dole jakaś amatorska orkiestra wydmuchuje na trąbkach mazurka Dąbrowskiego. Z pokładu odpowiada przez głośniki „Pierwsza brygada“. Jeszcze jakiś sygnał i wewnątrz statku zaczyna pulsować; gra w niem coś rytmicznie i głucho. Jednocześnie bulwar, rojny i wiwatujący, zaczyna się odsuwać od burty. Odległość wzrasta. Tętna maszyn biją coraz mocniej i dźwięczniej. Niebawem pochłania nas noc i oddal. W nieosłoniętych miejscach pokładów wieje ciepły wiatr pędu i wolnej przestrzeni. Na przedzie i na rufie, w pomieszczeniach klasy trzeciej, zrywa się chóralny śpiew. Słów nie chwytam, nie rozumiem, ale melodia tchnie wschodnim smutkiem. To „chaluce“, pionierzy akcji syjonistycznej, śpiewają pieśni hebrajskie.

Trzy dni i cztery noce trwała nasza podróż do Haify. Dni były coraz bardziej niebieskie i go-

raçe, nocę wezbrane światłem miesięcznym, dała i słodyczą. W słonecznym rozleniwieniu i w księżycowej hipnozie zatracalo się poczucie czasu i przestrzeni. Mozeby się całkiem zapomnialo o celu podróży, gdyby nie ożywienie, panujące wśród emigrantów. Na morzu pękły bariery klas. Nocą pod oknami górnych kabin odbywały się zbiorowe przechadzki „chaluców“ obojga płci. Śpiewano rankiem, śpiewano w dzień i późnym wieczorem.

Emigrant żydowski odbywał swą podróż w stanie wzrastającego wciąż podniecenia. Czuł się na okręcie bohaterem dnia. Dla niego przecież znalazła się „Polonia“ na tych wodach, przystosowana do nowej służby; w klasach podpokładowych wyposażona jest w napisy żargonowe i hebrajskie. W okolicach kuchni i spiżarni urzęduje koszermajster, czuwający nad rytualną dyscypliną stołu. Kiedyśmy zwiedzali urządzenia okrętu, do oficera, który nas oprowadzał, podszedł ten właśnie rzeczoznawca od koszerności z jakimś zażaleniem na kucharza.

— Ależ wasi ludzie nie chcą jeść koszernego!
— tłumaczył się oficer.

— Co znaczy nie chcą? Ja jestem od tego, żeby chcieli. A starzy, to oni naprawdę chcą.

Młodzież bowiem grymasi: sprzeciwia się kuchni rytualnej i dokucza trochę koszermajstrowi, który w czynnościach swych nie zna poślazania. To też w masie wychodźczej zarysowały się dwa obozy. Chaluce trzymają się osobno, starzy jakgdyby zlekka unikali młodych. Starzy przeważnie jadą do swych dzieci, na chleb dożywocia, bez planów pionierskich. Są cisi i jakby zrezygnowani. W dni świąteczne ubierają się w atłasy, w cienkie sukna, i na rufie statku, pod ścianą jadalni drugiej klasy, zwróceniu twarzą na wschód, modlą się głośno. Zrzadka podejdzie do nich ktoś z młodszych, przystanie opodal

i zacznie się kiwać we wspólnym rytmie pokłonnów.

Młode pokolenie zachowuje się wówczas poprawnie, nie przeszkadza modłom ani śpiewem, ani zabawą. Chaluce gwarzą sobie cicho na ostrym wietrze pokładów. Oni przeważnie już się nie modlą o Mesjasza. Potem wyjaśnił mi to w Jerozolimie pewien student uniwersytetu hebrajskiego, integralny — jak o sobie mówił — nacjonalista.

— Mesjasz to wyższa świadomość narodowa, wola organizująca nas w ustrój nowoczesny, zdolny do wywiązania się z zadań, jakie stawia nam przyszłość, a ta świadomość i ta wola już się w nas objawiła. Jeśli kto nie wierzy w duszę zbiorową, to dostrzeże Mesjasza w wodzu, który jest organem czucia i myśli zbiorowości. Być może, że tym wcieleniem zbawiciela żydowskiego był Hezel? Być może, że będzie inny, że znowu jest w kimś z nas?

Pokolenie „chaluców“ zastępuje modlitwę formułami hasel, zawierających w sobie skróty konstrukcyjne, dla tych ludzi pełne treści emocjonalnej, równie nie znoszące kompromisu, jak kanon religii. Trzeba było słyszeć misterne programowe wyjaśnienia, żeby ocenić ich dialektyczną precyzyjność. Trzeba było słyszeć dwugłos przeciwników, by zrozumieć, jak dalece umieli oni w obliczu niewtajemniczonych, obcych, zapanować nad popędem do zwady. Poza łagodnym słownictwem argumentów czuło się jednak burzę hamowanych namiętności. I to burzę o co? Czy ja wiem, doprawdy? O jakieś coś, czego w toku wywodów czasem nie zauważyłem nawet, lub nie zrozumiałem.

Wychodziliśmy z tych ognisk dyskusyjnych trochę znużeni trudną drogą przebiegów i wybiegów myślowych z przeświadczeniem, że później w podpokładowych głębiach statku rozgrywa się dalszy ciąg pogawędki, już jako walna rozprawa o

jakiś szczegół, który dla mnie był tylko szczegółem, a dla grupy wyznawców jest może treścią treści, prawdą prawd. Wszak Syjon nie wyszedł jeszcze ze wstępnej fazy stawania się, jest wciąż w szkicu, w przymiarkach i laboratoryjnych próbach, a ci ludzie jadą po to, aby dać mu kształt swojej, tylko swojej wiary, nie znoszącej ani odstępstwa, ani ustępstwa, ani kompromisu, gdyż wszystko w niej jest ważne, wszystko najważniejsze..

Po jednym z takich wykładów, gdym kierował się już ku wyjściu, ktoś lekko dotknął mego ramienia.

— Ci dwaj panowie mają do pana interes.

Tymi panami, którzy mieli do mnie interes, okazali się dwaj krzepcy chaluce o spokojnych ogorzałych twarzach. Przedstawiają się grzecznie, poczem prosto z mostu:

— Zapraszamy pana do naszej kolonii. Od pocznie pan wśród nas, przypatrzy się pan wszystkiemu. Oцени pan naszą rację i dokonane prace.

Po chwili nowa delegacja.

— My też zapraszamy pana do siebie. Bo to słowa, gołe słowa nic nie znaczą, niczego nie dowiodą. Zobaczysz pan u nas rzeczy naprawdę ciekawe.

Stoją i bystro patrzą w oczy.

— Dziękuję za zaproszenie. Ale czy panowie wiedzą, w jakim charakterze jadę i co reprezentuję?

Oni uśmiechają się uprzejmie, nawet przyjaźnie.

— Wiemy, owszem. I bardzo prosimy. Będzie pan naszym gościem.

Byli teraz w Polsce w jakichś sprawach osobistych czy organizacyjnych.

Więc nie powrót z reemigracji.

— Nie, panie. Nie reemigracja. Jesteśmy obywatelami Palestyny.

Patrzą w oczy bacznie, niemal ostro. Boją się, czym ich nie podejrzewał o rozterkę, o brak decyzji w ostatecznym wyborze między Syjonem a dajmy na to jakimś Zambrowem lub Ostrołęką.

— Jesteśmy obywatelami Palestyny, rolnicy, proszę pana.

Do późnej nocy rozbrzmiewa na dolnych pokładach śpiew chóralny. Jeden z chaluców naprędce tłumaczy mi niezrozumiałe teksty. A więc pieśń bezrobotnego żyda w Polsce, który marzy o Syjonie. „Daj mi tylko dwa dni pracy w tygodniu, o Jeruzalem, bym mógł żyć w cieniu twoich murów i ciebie kochać“. Potem jakaś ballada czy elegia, oparta na motywach biblijnych. Już mi się gubi i zaciera granica między pieśnią ludową a religijną. Zdaje mi się, że to są wciąż wersje tej samej „Koł-Nidre“, którą o zachodzie słońca w sądny dzień na rufie okrętu przed rozmodlonymi starcami zawodził kantor. Ucho, nawykłe do zachodnich konstrukcji muzycznych, nie chwyta rysunku melodii, czuje zaledwie tonację. Gdy śpiew umilknie, w pamięci pozostawia on tylko ogólne wrażenie: dalekość, odrębność, obcość.

...Trzy dni modre od bezmiaru nieba i morza. Cztery noce parne, nalane światłem księżycowym i powiewem dali, od czasu do czasu z wiodnokregu mrugające ogniami niewidzialnych wysp i łądów.

Później krótkie rozjazdy w trójkącie Haifa-Jerozolima-Jaifa, na odcinku Palestyny najbardziej dramatycznym ongi i dzisiaj; — i tyle sprzeczności, niespodzianek, uznania i sceptycyzmu, przedwczesnych wniosków i poniewczasie uświadomionych sobie braków w katalogu zebranych cyfr, faktów i przypuszczeń.

Nahalal i Palestyński Pińsk

Po drodze z Haify do Nazaretu i do jeziora Genezaret mamy zwiedzić niektóre kolonie żydowskie. Kolonie te są oczkiem w głowie syjonizmu, jego dumą i najcenniejszą zdobyczą, bastionem przyszłości. Tak jest, przyszłości. Teraźniejszość bowiem, rozpatrywana jako pewien rezultat, ilościowo przedstawia się dosyć skromnie. Koło 200 kolonij z 45 000 dusz. Zestawmy to z 220 tysiącami żydów, osiadłych w Palestynie *) a otrzymamy procencik ludności rolniczej nieznaczny, można rzec: nikły nawet, jeśli się uwzględni aspiracje Syjonu, który swe nadzieje pokłada właśnie w rolnictwie.

Badając te dane, miejmy na uwadze szereg przyczyn, które o tych cyfrach decydowały. A więc choćby ceny urodzajnych gruntów, wysokie wskutek postawy Arabów, niechętnie odstępujących ziemię żydom. Drugą przyczyną jest konieczność ciężkiej walki z samą glebą i małe stonkowo zyski, okupywane wielkimi niewątpliwie nakładami pracy i pieniędzy. Pozatem polityka angielska, ograniczenia imigracyjne, bardzo surowo przestrzegane, nie przyczyniają się do rozmachu kolonizacyjnego. Stan funduszków, przeznaczonych na urzeczywistnianie Syjonu, zubożenie żydostwa i zmniejszenie jego na ten cel ofiarności, niebylejaką też gra tu rolę. Najważniejszą atoli przeszkodą w ekspansji kolonizacyjnej musi być sama natura żydów. Cóż na to pora-

*) Podają tu cyfry z końca 1933 r.

dzić, że nie mieli oni dotąd, serca dla ziemi. Obcy to był dla nich żywiół, tyrański, wymagający oddania mu się w niewolę fizyczną i uczuciową, żywiół kapryśny, a jeżeli chodzi o zyski — wręcz nieobliczalny. To też poprzednie próby zbliżenia żydów z ziemią spełzły na niczym. Mam tu na myśli akcję bar. Hirscha, Argentynę a później Ugandę, kosztowne i jakoby chybione całkiem eksperymenty bogaczy żydowskich.

— Ale teraz to się nam już udaje zbratanie z ziemią — hardo i wesoło przechwała się krępy, muskularny „chaluc“, nienaganną zresztą polszczyzną z akcentem warszawskiego śródmieścia.

— Skąd taka pomyślna zmiana?

Usłyszałem odpowiedź bardzo nawet interesującą:

— Bo teraz próby dokonywane są nie w jakichś tam dzikich, obcych nam krajach, ale na naszych, naszych historycznie obszarach. Poza-tem: taki już jest prąd dziejowy, takie są konieczności. Nowoczesny ustrój narodowy itd.

Ziemia, jako podstawa bytu narodowego, w enuncjacji żyda-socialisty brzmi naprawdę rewelacyjnie.

Nasza taksówka nagle skręca w prawo. Zjeżdżamy z asfaltowej autostrady na miękką, wyboistą drogę, wprost w uprawne, łagodnie sfalowane, w tym czasie puste jednak grunta. Tu i tam na czerwonym tle ziemi jaskrawo się zielenią winnice i gdzieś tam jeżą się ścierniska, a dalej, w złotoniebieskiej mgiełce dnia majaczy ciemną plamą coś w rodzaju lasku. Jeszcze jeden miękki pagórek, i oto wpadamy w cichą uliczkę osiedla.

— Nahalal — oznajmia szofer, młody Arab, z którego rysów nietrudno domyślić się koligacyj niedalekich przodków z murzynami.

W osiedlu panuje cisza. Wzdłuż drogi z obu stron sady, ogrodzone drutem, w głębi budynki

gospodarskie. Zszedłszy z maszyny, szukamy, jak to się mówi, żywej duszy. W jakimś ogrodzie brzdami grządek skacze kilkunastoletnia dziewczynka. Na nasze powitanie uśmiecha się, ale nie odpowiada. Dajemy jej spory wybór środków konwersacyjnych: „Po polsku? Francais? Deutsch? Englisch? Italiano? Pa ruski?“ Dziewczynka uśmiecha się, kręci czarną główką i mówi kilka słów w zupełnie niezrozumiałym języku. Pobieгла w głąb ogródka i wraca po chwili w towarzystwie starej kobiety, ubranej w kaftan i w granatowe spodnie. Twarz zmęczona, czarniawa, oczy bardzo smutne, głos cichy. „Da, pa ruski“. Z Kiszyniowa. Od dwudziestu już lat na roli w Palestynie. Córka nie zna już innego języka, oprócz hebrajskiego, jak wogóle dzieci żydowskie, urodzone tu, na emigracji, i wychowane w koloniach rolnych. Niebawem zza drzew wychyla się sam gospodarz w żółtej chesuszowej czapce z daszkiem i w robotniczej bluzie. Jest równie cichy i mało mowny, jak i jego stara żona. Kiszyniów z przed trzydziestu lat, miasto przez żydów źle wspomniane. Ci pewnie uciekli w obawie przed pogromami, może po zabójstwie Stołypina? Czy to załęknięcie, malujące się w oczach zwiędłej przedwcześnie żydówki i ten apatyczny wyraz twarzy męża — to Kiszyniów, czy już Palestyna, niezupełnie spokojna i bezpieczna, jakżeż trudna do opanowania na wyłączną własność Syjonu?

— No co, czy dobrze tu państwu? — pytamy.

— Oczeń choroszo *) — odpowiada czarniawa żydówka z nikłym uśmiechem na ustach i ze smutkiem w oczach. — Oczeń choroszo.

Dziewczynka ze sztywno zaplecionym warkoczykiem prowadzi nas do biura kolonii. Biuro mieści się w drewnianym domku, jeszcze niewykończonym. Zza niemalowanego stołu powstaje

*) Bardzo dobrze.

na nasze powitanie kierownik Nahalalu. Po polsku mówi dobrze; czasem tylko w szyku słów czuje się niespotykany u nas układ lub nie nasz akcent frazy. Prawdopodobnie wpływ hebrajszczyzny, myślenia po hebrajsku. Dr. Mazur, b. dyrektor gimnazjum żydowskiego w Polsce. Łagodna twarz i czarne oczy, jakby w ekstazie. Od pierwszego spojrzenia widać — ideowiec. Czyżby rolnik z zawodu? On zaś uśmiecha się. Owszem, rolnik. Ale również i dwa fakultety uniwersyteckie, i wyższa uczelnia techniczna. Chętnie udzieli nam wszelkich wyjaśnień, pokaże wszystkie osobliwości Nahalalu. „Panowie z Warszawy? Dziennikarze? Ah tak! Szkoda, że na tak krótko. Tyle znalazłoby się interesujących tematów. Mamy tu już szkołę rolniczą dla dziewcząt. Nahalal rozrasta się — nietylko jako wzorowa kolonia, ale i jako ognisko umiejętności zawodowych“.

— Tu, w tym miejscu, przed dwudziestu laty marny wiodła żywot wioska arabska — objaśniał nas p. Mazur. — Wokół były mokradła, a miejscowość zwała się „Wodą śmierci“. Panowie rozumieją, co to znaczy, prawda? Ludzie ginęli jak muchy od zjadliwej febry. Myśmy wykupili te mokradła i doprowadzili je do dzisiejszego stanu pomysłowymi bardzo urządzeniami, które, niech mi panowie wierzą, dużo wymagały pracy, cierpliwości i pieniędzy. A jaką teraz mamy wodę!

Kosztujemy dobrej rzeczywiście wody, nalaną z glinianego dzbana o kształtach, powiedziałbym, biblijnych.

Na ścianie kancelarii obrazek Nahalalu, zdjęty z lotu ptaka. Duże koło, którego wycinki, biegnące ku środkowemu kółku, gdzie jest niewielki placyk, stanowią kompleks zagród. Bliżej obwodu koła — grunty uprawne, potem ku środkowi ogrody, następnie budynki i sady.

Nahalal jest kolonią, opartą na zasadach solidarystycznych. Koloniści pracują tam sami na gospodarstwach indywidualnych, ale bez prawa

najmu sił pomocniczych, więc rodzinami, w których przestrzegana jest norma „przyrostu“: czworo dzieci. Zakup narzędzi i nawozów, oraz sprzedaż plonów i przetworów odbywa się za pośrednictwem własnej spółdzielni. Pewnie gwoli wygody, ale też i w celu ograniczenia indywidualnych zakusów spekulacyjnych. O ile dobrze zrozumiałem zadania i ducha tej kolonji, Nahalal chce być nietylko warsztatem, ale i skrótem idealnego społeczeństwa, pomyślanego według pewnych zasad, szkołą moralności społecznej. Obszar zagród wynosi mniej więcej po 120 „dunamów“, czyli 12 hektarów, otrzymanych w stuletnią dzierżawę od żydowskich instytucyj narodowych.

Stąd jedziemy do sąsiedniej kolonii, założonej przez socjalistów. Stosunki z Nahalalem, mimo różnic ustroju, muszą być dobre, skoro towarzyszący nam w tej wycieczce dr. Mazur witany jest przez czerwonych sąsiadów jako mile widziany znajomek, Kolonia nazywa się Kiwat Kwucak Pińsk. Założyli osiedle pińscy emigranci, nazwawszy je Pińskiem bynajmniej nie z nadmiaru sentymentu do stolicy naszego Polesia. Palestyński Pińsk ma być pomnikiem trzydziestu żydów, rozstrzelanych w Pińsku po wkroczeniu naszych wojsk, czasu wojny z bolszewikami. Informacja ta była nam zakomunikowana, musze to przyznać, w formie bardzo oględnej, nawet dyskretnej i nie kryła w sobie zamiaru roztrząsania faktów ani okoliczności.

„Pińsk“ palestyński różni się od Nahalalu planem osiedla, czyli większą dowolnością w zabudowaniu. Domy, przeważnie z płaskimi dachami, mają skąpsze, niż w Nahalalu, ogródki i sady. Oto tu jest kancelaria, tam zaś zbiorowa jadalnia w osobnym murowanym budynku. Wchodzimy do wnętrza. W sali odbywa się mycie podłogi. Kuchnia przygotowuje obiad. W piekarni biało ubrany młodzian z rozżarzonych ko-

mór wyciąga pachnące chleby i buły. Wszędzie spokój i czystość, wszędzie porządek.

Osiedle tonie w słońcu. To tu, to tam z kowenką lub z wiaderkiem w ręku pędzi do grządek młoda kolonistka. Cisza wielka wokół, jak w Nahalalu. Nie słyhać tu głosów i odgłosów, jakżeż typowych dla naszej wsi: piania kogutów, poryku bydła, szczekania psów. Obrazek niezwykle, niepokojący zarówno wyobraźnię słuchu, jak i wzroku. Przecież to wieś, żydowska wieś w Palestynie — te murowane sześciany domów i niewyraźne poletka. Wieś nadto socjalistyczna. Gdzież się podziła rasowa krzykliwość, nerwowość? Ale też czym i w czym ujawnia się tu radość wyzwolenia?

— Jak się państwu powodzi?

— Bardzo dobrze — odpowiada młoda kolonistka i płoni się tak, że w rumieńcu giną jej obfite piegi.

— I dobrze się czujecie na roli?

— Bardzo dobrze.

Socjalistce palestyńskiej warto się przyjrzeć z bliska. Interesujący jest jej strój: kompromisowy, męsko-kobięcy. W kapeluszu z rondami, nisko z boków opuszczonymi, w kaftaniku i w krótkich spodeńkach pacholących, szczupła i biała, uśmiecha się cicho, snąc zażenowana niespodziewaną wizytą obcych, i to nawet nie żydów, nie Anglików, ale warszawian, rdzennych Polaków.

W pobliżu jeziora Genezaret powstała w ciągu lat kilkunastu spora osadka komunistyczna, Degania. Rozwija się podobno niezłe, pracuje dość zgodnie i wydajnie. Ale komunizm Deganii jest szczególny. Jeden z naszych kolegów, szczegółowo badając jej ustrój, odnalazł w nim coś w rodzaju „liberum veto“, uwzględnianego w uchwałach sowietu. Pozatem jest to „kołchoz“, z dodatkiem jednak dwóch ważnych przymiotników: kołchoz żydowski i palestyński. Jego charakter komunistyczny ulega jakoby przeobrażeniom w

miarę tego, jak do spraw doktryny wkracza życie. Zmiany idą w kierunku uspokojenia popędów bojowych i stopniowego poddania się warunkom lokalnym i głosom krwi.

Zresztą, jak mię zapewniano w Tel-Awiiwie, komunizm żydowski nie przyjął się na gruncie palestyńskim. Popyt na robotnika w miastach, praca w koloniach rolnych i praca nad sobą, nastawienie pionierskie chaluców — nie sprzyjały nauce Lenina. Może największą jednak przeszkodą dla komunizmu był entuzjazm narodowy, jaki ogarnął wychodźstwo żydowskie, uświadomiona konieczność wspólnej, wyteżonej pracy w środowisku mahometkańskim, a więc obcem, nawet wrogiem, w środowisku religijnie mocnym a pod względem stosunków społecznych — wyraźnie zachowawczym. Nieliczne tedy osiedla komunistyczne przechodzą ewolucję, zbliżającą je psychicznie do innych kolonij żydowskich w Palestynie.

Inaczej, bo pomyślniej przedstawia się sprawa socjalizmu. Jest on bardziej zaborczy, energiczniejszy, śmielszy, ile że nie zerwał z zasadą narodowości, nie usuwa ze swego obozu „religiantów“ i chce wziąć najżywszy udział w organizacji nie tylko klasy, ale i narodu, jako całości i państwa narodowego.

Nie należy bowiem zapominać o jednym. Mimo wielkie różnice, dzielące emigrantów, jako wyznawców pewnych haseł, są to żydzi. Liberal czy socjalista, ortodoks czy ateusz, wszyscy oni, jadąc do Palestyny, mają wspólną busolę, której strzałka wskazuje owiany wiekami tesknót i marzeń Syjon. Socjalista, który tam emigruje, jest socjalistą żydowskim, demonstracyjnie żydowskim. Również leniniec, choć w zasadzie odżegnywa się od kryteriów narodowych, chce być czynny, jako komunista żydowski. Zresztą zamiast jechać do swej proletariackiej ojczyzny, w której budowie taki czynny brał udział, przybył tu wła-

śnie, pod skrzydła Syjonu. Może ma taką misję od swojej międzynarodówki, aby pilnował, czuwał, nie dopuszczał itd.? Ale jeśli tak było istotnie, to misja się nie udała. W żydowskiej masie emigranckiej, pomimo różnic, rozdzwieńców a nawet waśni partyjnej, chwilami bardzo ostrej, rządzi i o wszystkim decyduje żydowski interes narodowy.

„Wzgórze wiosny“

Tyle się o tym czytało i dotąd czyta w prasie, w czasopiśmiennictwie świata całego, przede wszystkim zaś w różnojęzycznych wersjach żydowskich. Tel-Awiw! Ostatni wyraz techniki urbanistycznej, miasto, lecz bez złych stron miasta, zbiornik tlenu i przestrzeni, zapłata za wyziewy nędzy, za blednicę i suchoty licznych, uporczywie walczących ze śmiercią — pokoleń. Tel-Awiw, najbardziej reprezentacyjne, najbardziej rzucające się w oczy dzieło nowego Syjonu! Gdy okręt stanie na redzie, spójrzcie na ład. Obok malowniczej, ale bezładnej Jaffy, porządkny w liniach i jasny w barwach, uporządkowany, wygodny, w nienagannej swej celowości trochę nudny Tel-Awiw. Opiewają go w rymach hebrajskich i żargonowych poeci, zachwycają się nim w uroczystej prozie beletryści i dziennikarze. O Tel-Awiwie śpiewa pieśni niemal nabożne chaluc, o pięknie tego miasta słucha i nasłuchać się nie może, pełen zdumienia, lęku i trochę niewiary — brodaty żyd ostrołęcki lub łomżyński.

W pociągu bukareszteńskim podszedł do mnie blady młodzian, strojny w powagę rabina i w pierzasty zarost na szyi.

— Panowie do Palestyny? — spytał cicho. — I będą panowie w Tel-Awiw?

Potrząsnął okrągłą głową, aż mu się zakowały na miękkim nosie binokle w złotej oprawie i, patrząc zpod rzes w jakiś dla niego tylko widzialny obraz, dodał:

— To panowie są bardzo szczęśliwi.

On Tel-Awiwu nie widział, choć jest żydem. Nie widział, ale czy zobaczy? Zobaczy z pewnością, musi zobaczyć. Dzisiaj Tel-Awiw jest już celem licznych pielgrzymek żydowskich z całego świata, z Polski zaś przedewszystkim. Tel-Awiw, to po hebrajsku: „Wzgórze wiosny“. Ileż liryzmu jest w tym imieniu, wiele egzaltowanej symboliki i nadziei!

Z hałaśliwej, niepozobawionej swoistego uroku Jaffy, arabską dwukonką, przypominające t. zw. „gumy“ przedwojennej Kongresówki, jedziemy do Tel-Awiwu. Jaffa, jak to Jaffa: dźwięczy, pobrzękuje, ryczy głosami ludzi i osłów, śmierdzi z całym rozmachem Lewantu. Ale oto w pewnej chwili nagle kończą się zaułki i kocie łby bruków, zaczęły się nagle asfaltowe jezdnie i zieleńce; jakiś bulwar czy aleja szerokim szpalerem platanów wlewa się w rozległy skwer. Poprzez dwuszereg drzew przyświeca jasne, w gospodarowaniu terenami nie liczące się z groszem, zamożne widać miasto. Skończyła się też arabska strefa zapachów. Nie czuję już ani czosnku, ani baraniny, ani odoru wielbłądów, ani tych niewyjaśnionych, nienazwanych wyziewów, którymi dyszy bliski Wschód. Jeżelibym szukał syntezy powonieniowej Tel-Awiwu, to musiałbym stwierdzić, że pachnie on wapnem, żelazem i brzoskwiniami. Bukiet, zważywszy na tło orientalne, nieoczekiwany i nawet orzeźwiający. Tel-Awiw, latarnia Syjonu, powiedzmy... hm!... oryginalne przedmieście starej Jaffy.

— Pardon! — poprawiam się odrazu, spoglądając na sekretarza generalnego municypalności tel-awiwskiej, który nas tu z portu sobiście przywieźć raczył i który wykonał w tej chwili gest protestu.

— Prosiłem przecież o pardon — mówię skruszony. — Wiem, wiem, co pan chce powiedzieć. Dziś to już Jaffa jest przedmieściem Tel-Awiwu.

Śmiejemy się razem w tonie pojednawczym, gotowi jednak do dalszych żartobliwych prowokacji.

Kopyta końskie dźwięcznie klaskają o asfalt; szkapy, zwrócone ku sobie głowami — a były to konie jaffskie — uśmiechają się sceptycznie. Arab-woźnica już przygotowuje się do wszczęcia z nami zwady o wynagrodzenie za przejazd, o wysokość oczekiwanego datku, choć umowa stała na trzech piastrach.

Miasto zaś? Odsuńmy na chwilę wszelkie miary porównawcze, album miast ładnych, ciekawych, czystych, szpetnych lub nudnawych. Popatrzmy na Tel-Awiw, jako na osiedle, które na dobrą sprawę miastem jest dopiero od lat kilkunastu, choć w roku ubiegłym obchodziło swoje ćwierćwiecze. Spójrzmy nań, jako na wytwór budownictwa żydowskiego. I wreszcie ostatnia rada. Pamiętajmy, że dziś może na świecie niema miasta mniej więcej stutysięcznego o ludności pod względem narodowym lub wyznaniowym choć odrobinę nieprzemieszanej jakąś obcą ingrediencją. A Tel-Awiw w 1933 miało tylko trzech gojów, tylko trzech obcych, takie zaś drobne promilowe coś, takie nic, w tych 80 tysiącach to się chyba nie liczy. Tel-Awiw, to sami żydzi, wyłącznie żydzi.

Jesteśmy w środku miasta. Dokoła nas sieć ulic, przecinających się przeważnie pod kątem prostym, większe jednak arterie mają tendencję do opisania łuku, łagodzącego nudę symetrii. Jadąc w stronę ratusza, zauważyłem, jak gdzieś w głębi, za jakimś węzłem wylotów ulicznych, granatową listewką błysnęło morze. Domy różowo-żółte, niewysokie, raczej rozrośnięte wszere. Statut miejski nie pozwala na wznoszenie budynków wyższych ponad trzy piętra; pozatem interwalle między domami muszą mieć przynajmniej osiem metrów — luz, pozostawiony z myślą o wzajemnej izolacji, o przewiewie i ogródkach.

drzew, jaskrawo zielonych w tym różowo-żółtym mieście, którego ciepły koloryt staje się jeszcze cieplejszy pod mocno niebieskim stropem dnia. Okazalsze ulice noszą imiona twórców nowego Syjonu i jego możliwych protektorów. A więc ulica Herzla, bulwar Rotszylda itp.

W pobliżu ratusza, zza wysokiego ogrodzenia, z gąszczu krzewów i drzew południowych wychyla się solidna, ale mimo to dość lekka w swej masie willa, ukwieconym tarasem wybiegająca w ogród. Może wskutek rozproszonej uwagi, zajęty gawędą ze swymi towarzyszami i z uprzejmym przewodnikiem, obrazu tej rezydencji nie utrwaliłem sobie w pamięci. Ale coś mi się tam już w pierwszym wrażeniu nie układało, coś w tej willi było nie w porządku, albo zanadto w porządku, co zresztą w plastyce może stać się grzechem nie mniejszym nawet, niż bezład. Był zatem w pałacyku jakiś grymas bezsiły, coś, co więziło jego lotność i szczerłość. Dziś, gdy zamknę oczy i staram się uprzytomnić sobie schemat budynku, to zdaje mi się, że widzę przyczynę tej skazy. Przyczyna ta tkwi nie w nim samym, ale w tle. Dom, o ile się nie mylę, miał oprzeć się na motywach antyku żydowskiego. Ale prosty układ jego płaszczyzn i drażoną wnękami sześcienność kształtu pochłonęło otoczenie. A więc te płaszczyzny i kuby żelbetonowej architektury, wyglądającej tu tak, jakgdyby to budownictwo rzeczywiście było potomkiem judejskiego antyku, schamiałym tylko, brutalnym i doszczętnie pozbawionym wyrazu. To też hebrajskość tej willi, jej indywidualność zagłuszył architektoniczny żargon płaskich kamiennych pudeł.

— Dom naszego poety, Bialika. Dar narodowy.

Informacja dana była półgłosem, wyrażającym bardzo wysokie kategorie uczuć z przewagą respektu.

Kogokolwiek spytałem potem o Bialika, zawsze otrzymywałem odpowiedź, nacechowaną

wzruszeniem i czcią. Tel-Awiw dumny jest z tego, że w jego murach osiadł wielki pisarz i patriota żydowski, jeden z duchowych współtwórców Syjonu.

Wracając z ratusza, jeszcze raz przelotnie spojrzałem na pałacyk. Wtedy miał on dla mnie wymowę inną, pozafizyczną. Mówił mi o tem, jak żydzi cenią swoich artystów i jak ci artyści służyć umieją żydostwu.

Skoro już mowa o Bialiku i o służbie narodowej artystów i pisarzy żydowskich, to nie uchylajmy się od szerszej refleksji i od wniosków.

Więc ci inni, niewłączeni do szeregów, do jawnej akcji na rzecz Syjonu, albo choćby owi odstępcy? Przecież i oni, świadomie czy nieświadomie, służą jednak sprawie żydowskiej, choćby skutkami swojej specyficznej twórczości, o cechach niemożliwych do zatajenia? Ci różnorodni Żydzi wszelkich orientacyj i wszelkich ideologii, niespokojni, gorzcy, smutni albo ponuro wesółkowaci.

Tel-Awiw ma w herbie latarnię morską, sygnalizującą żydostwu nowinę odrodzenia.

Czy te sygnały i do nich są zwrócone?

I będziesz zbudowane...

Jedną z najbardziej zdumiewających cech zewnętrznych Tel-Awiwu, która aż woła o podkreślenie czerwoną linią, jest jego czystość. Do tego dodajmy jeszcze niezwykle spokojny, nie bezruch lub ospałość, lecz właśnie spokój, bo miasto aż kipi życiem celowym i uporządkowanym, to zrozumiemy, dlaczego dziennikarz polski patrzy na Tel-Awiw oczyma szeroko otwartymi ze zdziwienia. Po newrozie dzielnic żydowskich w miastach Rzplitej, po nieznośnej ich gorączce, niechlujstwie, po kakafonii stale podniesionych głosów, skupiony spokój „Wzgórza Wiosny“ jest dla mnie oszałamiającą niespodzianką.

Przypomniała mi się wtedy cisza, panująca w żydowskich koloniach rolnych, w Nahalalu i w „Pińsku“, i domagać się zaczęła wyjaśnień, oraz wniosków.

— Wie pan co? — zaryzykowałem najprostszą diagnozę tego zjawiska, referując swoje wrażenia pewnemu działaczowi syjonistycznemu. — Tak coś mi się zdaje, że masie żydowskiej bardzo, ale to bardzo nie służy polski klimat i nasze polskie warunki. Wy tutaj jesteście inni.

On zajrzał mi do oczu i zwlekał z repliką; pewnie mu się zdawało, że w słowach moich tkwi żądło. Ale ja naprawdę nie miałem żadnych zamiarów zaczepnych. Byłem pewny, że to co mówię, jest najzupełniej uzasadnione, poparte przykładem i jasne, jak ten piękny dzień palestyński.

Mój słuchacz, albowiem z rozmówcy stał się w końcu milczącym słuchaczem, trochę posmutniał. Ożywił się bardzo wówczas, gdym mu wyłuszczył jeszcze inne przez nas zaobserwowane współczynniki tego zjawiska, zjawiska ciszy, spokoju i powagi. Zdaje mi się, że na rytm i na charakter życia zbiorowego w Syjonie musiała decydująco wpłynąć postawa i wykształcenie ideowe żydów, emigrujących do Palestyny. Cokolwiekby się dało powiedzieć o niezgodzie społecznej, która toczy masę emigrancką, jedno jest dla mnie pewne. Oto poza grupą kapitalistów, którzy w Palestynie osiedli najczęściej z musu, wysadzeni z siodła przez kryzys, przez rewolucje i ciężkie w skutkach dla żydów przeobrażenia, zachodzące w życiu narodów europejskich, masa emigrancka, przedewszystkim zaś chaluce, stanowią kwiat żydostwa współczesnego, falangę odważną, zdecydowaną, ofiarną i świadomą swej odpowiedzialności wobec zadań, jakie im, pionierom Syjonu, powierzono i jakich oni się podjęli. Taka psychika może i musi się wyzwolić od nerwowości, musi panować nad odruchami, zrodzić czujność i pobudzić do wyczerpanych wysiłków w przewycięzaniu nałogów i skłonności. Ciężki to trud, ujarzmianie własnej natury, bodaj że niema cięższego, ale jak się okazuje, nie beznadziejny. Chaluc jest dla mnie przykładem tego, czego może dokonać sugestia idei, umiejętnie gospodarowany kapitał entuzjazmu.

W południe odwiedziliśmy prezydenta miasta, p. Diesenhoffa *). Szef Tel-Awiwu i jeden z jego założycieli, odeski żyd, od wczesnej młodości czynny na emigracji, przyzwyczajony jest widać do wizyt dziennikarskich; na wszystkie pytania daje odpowiedzi jasne, zwięzłe, poparte datami. Ściany jego gabinetu w ratuszu ozdobione są wizerunkami głośnych i zasłużonych dla Syjonu ży-

*) Zmarł w r. zeszłym,

dów i nieżydów. Na honorowym miejscu portret króla Jerzego. W głębi Einstein, nad biurkiem Herzel, obok lord Reading w pysznym stroju dworskim. A pozatem cała galeria sław i chlub żydostwa światowego. Rozmawiając z nami, p. Diesenhoff podpisuje papiery hebrajskie, które mu przynosi sekretarka.

Historia miasta jest krótka ale ciekawa. W r. 1909 sześćdziesięciu żydów zaczęło się budować w pobliżu Jaffy, na wydmach piaszczystych, które naniósł tam wiatry i morze. Stał wówczas pierwszy zespół domów mieszkalnych i skromnych jeszcze warsztatów, tak oto, bez żadnej koncesji, bez urzędowego pozwolenia władz sułtańskich. Osada rosła powoli, ale rosła. Turcy dziwowali się, kręcili głowami, oglądali osadę, ale sprzeciwów żadnych nie zgłaszali. Niechaj tu będzie żydowskie przedmieście Jaffy — powiedzieli sobie, machnąwszy ręką. Założyciele zaś mieli inne, szersze cele. „Tu stanie pierwsze wielkie miasto Syjonu“. Czasu wielkiej wojny ludność osady była ewakuowana w głąb kraju — admiralicja sułtana, organizująca obronę na morzu, nie łudziła się co do nastrojów i sympatyj Tel-Awiwu. Pokój, a potem mandat angielski, stały się punktem zwrotnym w dziejach osiedla. Tel-Awiw zaczął się rozrastać z dnia na dzień. Rósł i rośnie nadal tak szybko, że p. Diesenhoff, zapytany o cyfry, z widoczną dumą oświadczył:

— Chodzi panom o cyfry dzisiejsze, czy wczorajsze? Dziś *) jest 75 tysięcy ze sporym ogonkiem, wczoraj zaś było znacznie mniej, przed dwoma laty tylko 41 tysięcy, w najbliższym czasie będzie już tysięcy sto. Domów mamy teraz 5300. Inwestycje wynoszą 20 milionów funtów. Tel-Awiw, który zrazu cierpiał dotkliwie na brak zaplecza gospodarczego, obecnie jest jednym z najważniejszych ognisk handlowych i przemy-

*) W r. 1933.

słowych Lewantu. Eksportujemy rocznie naszych wyrobów za półtora miliona do Syrii, Iraku i Egiptu; owoce i oliwę wysyłamy do Europy. Budżet gminy, w zaraniu jej zamknięty w sumie 60 funtów, obecnie przekracza już 200 tysięcy funtów. Życie kulturalne? Wydajemy 600 tomów rocznie, oczywiście, w języku hebrajskim. Mamy dwie gazety codzienne, dwa tygodniki, kilka miesięczników, szereg wydawnictw fachowych, jak np. pismo specjalnie poświęcone uprawie pomarańcz.

— A ustrój, statut miasta?

Okazuje się, że Tel-Awiw jest już czemś więcej niż miastem. W jego statucie są uprawnienia nawet natury politycznej. Gmina ma własną policję z językiem urzędowym hebrajskim, własne sądownictwo grodzkie, również urzędujące po hebrajsku, samorząd miejski, z zupełnie odrębną ordynacją, ustalającą wybory proporcjonalne, powszechne, z udziałem kobiet.

— Tel-Awiw — rzekł p. Diesenhoff — jest dzisiaj miniaturą żydostwa światowego, w pewnym zakresie rządzącą się autonomicznie. Muszę nadmienić, że większość ludności stanowią narazie Żydzi z Polski i z krajów wschodnio-europejskich. Ostatnimi czasy wzmaga się nieco napływ emigracji z Niemiec.

Coś mnie skusiło, żeby zapytać o kompetencje i pełnomocnictwa szefa gminy tel-awiwskiej, o którym wiem, że jest jedną z czołowych postaci w elicie Syjonu. Chodziło mi o to, jak się przedstawia w praktyce samorządu sprawa t. zw. autorytetu.

P. Diesenhoff jakby się ociągał z odpowiedzią. Takiego pytania program wywiadów widocznie nie przewidywał, takie bowiem pytanie wkracza w gromadzkie, poufne stosunki gminy.

— Oczywiście, pełnomocnictwa moje reguluje i określa statut. Mam więc przy sobie kolegium, którego jestem wybranym i przewodni-

czącym. Ale w praktyce? Przecież Tel-Awiv wciąż jeszcze się tworzy i daleko mu do końca, trudno więc burmistrzowi wiązać ręce, jeśli niepodobna przewidzieć wszystkich przeszkód, jakie może wyłonić dzień powszedni. To też ja osobiście, moje uprawnienia? Proszę panów! Nasi obywatele wiedzą, że stałem na czele Tel-Awihu wówczas, kiedy miasto było dopiero w sferze projektów...

Zamyślił się i, uśmiechnięty, odruchowo spojrział w okno, jak dobry piastun, który chce się przekonać, czy jego dziecku, które się bawi koło domu, nie dzieje się jaka krzywda.

— Tel-Awiv był i jest celem mojego żywota — cicho dodał. — Nie mogę sobie wyobrazić siebie, swojej starości, poza tym miastem i bez niego.

Słowa te, w których mieściło się tyle treści, tyle pasji, dumy i serca, ani na chwilę nie wypadły z chłodnej tonacji konwersacyjnej. Opowiadając nam koleje swego dzieła, ten starszy, siwy pan, o młodej, nieco zmęczonej twarzy, pociągniętej teraz błękitnawem światłem dnia, miał w oczach, w półuśmiechu i w geście spokój, który mię tak uderzył w wyrazie chaluców.

„...Chcę, żebyś było zbudowane i będziesz zbudowane“ — taką ma dewizę herb Tel-Awihu. W herbie jest ciężki bastion z latarnią na szczycie, obłany morzem, w miękkim, falistym sześciościanku na okrągłym jasnym polu. Tarcza herbowa ma jedną gwiazdę u góry i dwie trójgwiazdne konstelacje: jedną u spodu, drugą z prawej strony.

„I będziesz zbudowane“...

Po wyjściu z ratusza pytamy policjanta o stację autobusów, idących do Jerozolimy. Nie znając angielskiego, pytanie formułuję po francusku, a potem na wszelki wypadek ponawiam je w języku niemieckim. Posterunkowy ubrany we

frencz, z cyframi hebrajskimi na kołnierzu, samorzutnie odpowiada nam po polsku:

— Prosto, a potem na prawo.

— Panowie z Warszawy? — pyta nas kontroler kompanii autobusowej. — No cóż tam sły-
chać w Polsce? W porządku? To chwala Bogu.

I, spojrzawszy na zegarek, zawołał do kierowcy również po polsku, pewnie przez roz-
targnienie, z nawyku, który mu się nagle odezwał, albo przez kurtuazję w stosunku do turystów:
„Jazda“.

A gdy maszyna ruszała, jeszcze zakrzyknął w naszą stronę:

— Bo u nas to wszystko, wszystko po hebrajsku, proszę panów.

Z najmłodszego miasta Palestyny jedziemy do ... Co tu się silić na poetyckie antytezy! Krótko mówiąc jedziemy nareszcie do Jerozolimy.

Mit Nowego Syjonu

W Palestynie uderzy nas charakter krajobrazu napóły pustynny. Jadąc drogami Judei i Samarii, widzimy przede wszystkim skaliste góry z rozpadlinami, wypełnionymi fijołkowym cieniem; a i tam, gdzie góry się kończą, razi nasze wyobrażenie o ziemi mlekiem i miodem płynącej naga, sztywna równina, lśniąca i powyginana, jakby pokryta blachą falistą. Wśród tych melancholijnych, miejscami groźnych dekoracji, nieczęsto ujrzy się wzdłuż drogi osiedle, las, gaj, winnicę lub stado owiec na pastwisku.

Ziemia Obiecana!

Tu, w tym kraiku, paruje nieustannie Morze Martwe, najsmutniejsze, najbardziej słone i gorzkie z pośród jezior świata. Palestyna to ziemia skąpych, w pocie czoła zdobywanych plonów i z trudem zaspakajanego pragnienia. Dzisiejsza Jerozolima, po europejsku przecież urządzone duże miasto, cierpi na niedostatek wody, jak cierpiała nań przed dwoma tysiącami lat.

Tak wygląda teraz Ziemia Obiecana. Czy zawsze była taka: sucha, groźna, gorzka? Świadczenia Pisma i Tradycji mówią co innego. Czyżby zatem tak gruntownie zmienił się charakter tej ziemi w ciągu dwudziestu wieków? A może bogactwem kraju był przede wszystkim tytaniczny tuż pokoleń, który znojem żywił twardą suchą glebę, by wzamian zato mogła wyżywić spracowanych i miłujących ją ludzi? A może to ekstazyjne ukochanie ojczyzny sprawiło, że Palestyna wydawała się jej dzieciom ogrodem szczę-

śliwości? Bo jednak te szeroko osadzone łańcuchy skał musiały tam być od początku świata a i Morze Martwe zawsze było takie, jak i dziś — gorzkie, trujące, słowem martwe, Jordan zaś i tylko Jordan zawsze stanowił podstawę irygacyjną kraju. Jeżeli więc przyrodzone bogactwa tej gleby, a przede wszystkim jej żyzność, żywiołową urodzajność uznamy za uludę serc, za wytwór egzaltacji patriotycznej, to miska soczewicy mogła w tych warunkach stać się ceną przywilejów, jakie daje pierworodztwo, sprzedać zaś brata — transakcją, którą może tłumaczy rozpacz głodu?

Lud, dobrowolnie czy też pod przymusem osiadły w tym kraju, miał Boga surowego. Bóg jednak wiele ludowi swemu obiecał — może właśnie za ubogie bytowanie, za nieustanną walkę z opoką i z pustynią. Tak, pierwszeństwo wśród narodów świata, nadane Żydom przez Jehowę, musiało wzbudzić w wybrańcach świadomość wielkich celów, oraz poczucie bezpieczeństwa, niezachwiane w najcięższych nawet opresjach.

Uprowadzany w długoletnią niewolę, lud izraelski wracał do tej właśnie krainy. Taka była wola Boża, taki był nakaz tęsknoty i taki pewnie układ sił politycznych na Wschodzie, że Izrael nie miałby się gdzie podziać, chyba na tych szybko wysychających ziemiach. A pozatem wzywała do powrotu świątynia jerozolimska, dom objawień i przybytek łączności Izraela z Panem. Założyciel tej świątyni, mądry król Salomon, znający koczownicze skłonności swego narodu, a może w przeczuciu przyszłych tego narodu losów, wspaniałą i świętą budowlą chciał związać Izraela z tą twardą i ciężką ziemią. Czym stała się dla Żydów owa świątynia, wiemy o tem z ich dziejów. Kiedy przybytek gruntownemu uległ zburzeniu przez wroga, który był nie chwilowym najeźdźcą, ale władcą owoczesnego świata, naród żydowski rozproszył się. Wodzowie rzymscy

wiedzieli, jaki zadać cios państwu Izraela, żeby nie mogło się podźwignąć.

Kiedy się ma przed oczyma pejzaż ojczyzny historycznej Żydów i kiedy się wnuknie w sens ich dziejów, wtedy się zrozumie przełom, jaki zaszedł w samowiedzy i w psychice żydostwa po 67 roku naszej ery. Żydzi, podówczas niewolni, w warstwach oświeconych zwaśnieni przez działalność sekt, w obliczu zburzonej świątyni i wciąż rosnącej potęgi Rzymu poczuli swoją bezsilność polityczną. Świątynia była dla nich, jeśli tak można się wyrazić, kotwicą, która mocą swego roku, swej świętości, trzymała w tym kraju naród na uwięzi. Gdy zgasły blaski przybytku, gdy świątynia legła w gruzach, a ten, kto się ważył podnieść na nią świętokradczą rękę, nie padł rażony gniewem Pana, lecz rósł w siły i coraz mocniej, coraz bezwzględniej utrwał swe panowanie — wówczas przyszła na Żydów depresja, przyszło zwątpienie a później pewność, iż to nastąpił czas kary. Przerażone oczy dostrzegły wszystkie fizyczne braki ubogiej ojczyzny, nawiedzanej przez ciągle najazdy, które wniwecz obracały dorobek melioracyjny pokoleń. Ocknął się instynkt koczowniczy. Ojczyzna weszła w dusze i tam się zamknęła na czas pokuty, zapowiedzianej przez proroków. Impulsowi wychodźtwa pierwsze poddało się mieszczaństwo, z natury ruchliwsze, mniej związane z losami ziemi, najbardziej natomiast zatrute przez fanatyzm sekciarski, a mające już styczność handlową z siecią gospodarczą świata, Zwłaszcza, że imperium rzymskie, lepiej zorganizowane administracyjnie niż ekonomicznie, popierało chętnie żywoły, obdarzone zmysłem kupieckim a nieobawiające się dalekiej obczyzny. Więc kiedy prosty lud, rolnicy i pasterze, pod przewodem młodych patriotów jeszcze trwał w oporze i nie ustawał w walce, mieszczenie żydowski coraz bardziej wzmagający się falami wychodźtwa torowali pokoleniom

drogi emigracji. Żydostwo wyszło uzbrojone we własną religię, jako naród pokutujący, ale naród zawsze jednak wybrany, jako zakon zakmnieły w sobie, obliczony na długie wieki rozproszenia, aż do czasu, kiedy do odzyskanej ojczyzny przywiedzie rzesze Mesjasz. Będzie to, oczywiście, Mesjasz wyłącznie żydowski, tylko Żydom zesłany, Mesjasz narodowy. To też Ten, który przyszedł jako Zbawiciel świata a który Nauką Swą o powszechności zasad moralnych godził w przywileje żydostwa, w jego pierwszeństwo wśród narodów — umarł na Krzyżu.

Zamiłowanie do interpretacji, do werbalizmu, do kazuistyki, ułatwiało rozroszonym Żydom nagięcie Pisma do warunków bytowania w środowiskach obcych. Zasada przywileju, pierwszeństwa, wyłączyła siłą rzeczy uprawianie szerszej działalności apostolskiej wśród innowierców. Skoro bowiem są wybrani, to muszą być i niewybrani — ludzkość nie może się składać z samych wybrańców. Nawrócenie Chazarów, ściślej mówiąc sfer rządzących w państwie chazarским, miało cele nietylę religijne co polityczne. Celem tym było stworzenie azylu dla Żydów, zatrwożonych zwycięskim pochodem dwóch wielkich potęg religijnych, niechętnych Izraelowi: Islamu na Bliskim Wschodzie i chrześcijaństwa, prącego podówczas ku wschodowi Europy. Państwo chazarские, na które Żydzi tak liczyli, okazało się tworem kruchym i nietrwałym, próba zaś rozszerzenia judaizmu na Ruś kijowską nie powiodła się odrazu. Wtedy rozproszone żydostwo, poniechawszy wysiłków „państwowo-twórczych“, jęło się innych sposobów, które miały mu umożliwić drogą pośrednią oddziaływanie na układ stosunków w świecie aż do chwili, kiedy Muskonieczność, ów Mesjasz, skupi Żydów i zawiedzie ich do domu. Do domu, więc chyba do Palestyny, jeszcze suchszej, jeszcze uboższej, niż wówczas, kiedy ją Izrael opuszczał.

Osobliwa organizacja żydostwa, zawierająca w sobie najistotniejsze cechy nacjonalizmu, rasizmu i przywileju wtajemniczeń w dziedzinie prawdy religijnej, zastrzeżonego dla wyznawców Jehowy, oddała Izraelowi, trzeba to przyznać, usługi nieocenione. Żyd pojedynczy nigdy nie czuł się osamotniony — więź mistyczna łączyła go z rozproszonym narodem, który gorliwie strzegł swej odrębności i wywalczonych w świecie pozycji. Trwało to dopóty, dopóki świat kształtował się w zespół państw, trzymających się hierarchią społeczną i polityczną bez oparcia o wspólnotę krwi, mowy, wiary i obyczaju, jako o zasadę naczelną, organiczną. Nacjonalizm współczesny, rozwiązujący zagadnienia życia zbiorowego w obrębie narodu, pozbawiał żydostwo tych dóbr i tych pozycji, które sobie ono w ciągu wieków zdobyło. Żydzi zrozumieli, że działać muszą szybko i energicznie już gwoli uratowania swej egzystencji. Sprawa w końcu stawała się tem pilniejsza, że próba odnarodowienia świata, podjęta w Rosji współczesnej przez stworzenie państwa antynarodowego i antyreligijnego, jako wzoru do naśladownictwa lub do narzucenia go przemocą, w świecie daje skutki wręcz odwrotne.

Przyszędł tedy czas na nowy Syjon, a zanim on się ziści, jeśli się ziści — na jego mit. Mit ten miałby dwojakie zadanie. A więc w obliczu grozy, wiszącej nad diasporą, tchnąłby w Izraela wiarę w ocalenie, przygotowałby go do nowych form bytu. Rozproszone żydostwo, stanowiące w świecie i w dziejach unikat socjologiczny i duchowy, miałoby znowu stać się narodem na własnym terytorium, urządzonym własnymi siłami. Poza tym mit ów miał złagodzić żywiolowość, ostrość antysemityzmu wśród tych narodów, które chciałyby się pozbyć Żydów, nie widziały jednak sposobów realnego załatwienia tej kwe-

stii. Nowy Syjon, czyli wyjście mas żydowskich z Europy do własnej siedziby, wymagać będzie przecie czasu, a zatem cierpliwości. A jeżeli się zyska na czasie, jeżeli się skłoni narody do cierpliwości — to wiele jeszcze może się zmienić w tym, co teraz uznane jest powszechnie za konieczność.

Czy ów mit spełnił swe dwojakie zadanie: wśród Żydów i nie Żydów — to już jest inna sprawa, przekraczająca ramy tych rozważań.

Jak do tego doszło i dlaczego tak się stało, że Rzymianie z taką nieubłaganą stanowczością rozprawiali się już nie tylko z państwem żydowskim, ale z jego ludnością, z narodem?

Drogę do odpowiedzi na to pytanie możemy znaleźć w prelekcji prof. T. Zielińskiego o cesarzu Auguście, wygłoszonej jesienią roku 1936 na publicznym zebraniu Akademii Literatury.

Czwarta ekloga Wirgiliusza, zwana mesjańską, zwiastuje przyjście na świat istoty, która temu światu przywróci jego „złoty wiek“. Mesjasza tego lud utożsamiał z cesarzem Augustem. Prof. Zieliński wspomina o pewnym napisie rzymskim, który ma takie brzmienie, iż można by sądzić, że mowa w nim o Chrystusie, tymczasem dotyczy on cesarza Augusta. „Godność mesjaniczna towarzyszy osobie cesarza rzymskiego; tym się tłumaczy antagonizm z tym Mesjaszem, który się właśnie za Augusta (w Nazarecie) narodził. Dalsza historia religijna Rzymu, z prześladowaniem chrześcijan, może być rozpatrywana, jako walka między sobą dwóch Mesjaszów; tego, do którego należał świat i Tego, który powiedział o sobie, że jego królestwo nie jest z tego świata“.

Więc Mesjasz chrześcijański uznany był za współzawodnika mesjasza rzymskiego, chociaż państwa ich dzieliła już nie odległość, ale otchła-

nie. A mimo to mesjasz rzymski wydał wojnę Królowi zaświatów i toczył ją z niesłychaną wytrwałością i okrucieństwem. Łatwo zatem zrozumieć gniew urzędników, służących cesarstwu, kiedy w podbitej prowincji żydowskiej, więc w granicach imperium, zetknęli się oni z innym mesjanizmem, również ziemskim, również pretendującym do wieczności — do władzy nad światem — z mesjanizmem narodu wybranego. Rzym, jako państwo, które było samo w sobie idea, treścią i celem, musiało uznać mesjanizm żydowski za zuchwalstwo, za bluźnierstwo, za coś niesamowitego, w każdym razie za herezję antypaństwową.

Naród — i to jeszcze wybrany! Naród? Co to jest naród? Czy na tym można się oprzeć? Czy to jest materiał, nadający się do budownictwa politycznego, do tworzenia instytucji? Państwo — tak, to co innego. Imperium jest wieczne, bo przecie nie może nie być wieczne — imperium. Ale naród? Toż to zupełnie nie mieści się w pojęciu państwa. No, bo co się stanie, jeżeli na przykład inne narody Rzymu, godniejsze od Żydów, powiedzą o sobie, że i one, i każdy z nich? Nonsens! Nie, nie nonsens właśnie! Herezja antypaństwowa!

Herezję taką — można było zniszczyć tylko niszcząc sam naród, jego samodzielność, spoiwość, jego związki z ziemią ojczystą. Gdy naród żydowski, naród kupców, pośredników, bankierów, aktorów, znachorów, magików, przepowiadaczy przyszłości, naród trawiony przez pychę nieludzką i nieludzką trwozę, którą wzbudzała w nim surowość Jehowy, naród niespokojny, opętany przez biesa koczownictwa — kiedy ten naród rozproszy się i w rozproszeniu zginie właśnie jako naród, jako środowisko hodujące swoją bluźnierczą ideę — zczeźnię wówczas i sama idea. Zerwać tedy związki tych ludzi z ich ziemią! Zburzyć im świątynię, ale tak dokładnie, żeby nie został kamień na kamieniu!

Jeżeli taka była myśl cesarów, jeżeli takie były pobudki, które ich skłoniły do zburzenia Jerozolimy — to następstwa owej taktyki ciążyą nad Europą po dziś dzień — jako kwestia żydowska.

— Żydzi muszą mieć ojczyznę nietylko we krwi, ale i w kategoriach przestrzeni, ojczyznę materialną, geograficzną, muszą stać się narodem w nowoczesnym słowa tego znaczeniu — powiedział mi jeden z „chaluców“, solidnie przeszkolony w sprawach i zadaniach syjonizmu.

— A więc narodem-państwem? — pytam.

Dostaje odpowiedź dobitną, jasną i natychmiastową.

— Tak jest, narodem - państwem.

Słuszności tej zasady nie sposób kwestionować. Słucham uważnie.

— Palestyna potrzebuje żydów. Palestyna nie zna bezrobocia. Palestyna nawet powinna zdobyć kierownicze stanowisko gospodarcze i kulturalne na Lewancie. Ale przedtem Palestyna musi się stać żydowska, jak żydowski jest już Tel-Awiv czy zespół kolonii rolnych choćby między Haifą a Nazaretem, kolonii, które pan powinien zobaczyć.

Ilu jest żydów w Palestynie? Paręset tysięcy, więc o wiele mniej niż w samej Warszawie. Na ogólną liczbę miliona *) mieszkańców stanowi to odsetek, bardzo jeszcze odległy od wymarzonego Syjonu.

Już na pokładzie „Polonii“ słyszałem cyfry, które w atmosferze konferencyj prasowych, przygodnych wykładów i pogadańk informacyjnych, wymykały się sądom i badaniom od strony istotnych możliwości. Cyfry różniły się między sobą znacznie, zachowując atoli tendencje zwykłe.

— Palestyna może zmieścić cztery miliony żydów.

*) W roku 1933.

Cyfra ta, choć w niektórych moich informacjach budziła pewien sceptycyzm, nie stawała się jednak przedmiotem dyskusji.

Jadąc znakomitymi drogami przez Judeę i Galileę wśród pustkowi i nieużytków, parokrotnie powtarzałem sobie to pytanie i zasłyszana odpowiedź:

— Ilu żydów zmieści Palestyna? Zmieści cztery miliony.

Życie ustaliło narazie liczbę mieszkańców w granicach miliona. Ideał liczebny Syjonu zaczął mi się zasnuwać mgłą wątpliwości.

— Dowiedliśmy chyba naszej wytrwałości w ciągu tysięcy lat — oświadczył mi w Haifie młody emigrant z Polski. Z zawodu był krawcem damskim. Ponieważ ladies angielskie stroją się w Londynie, a damy żydowskie gwoli oszczędności kroją i szyją same przy pomocy tanich szwaczek, więc krawiec zmienić musiał zajęcie. Pracuje teraz przy budowie koszar. I on dowiódł też swej wytrwałości.

— Co będziecie robić, gdy was tu zjedzie cztery miliony? — pytam innego chaluca. — Co poczniecie w kraiku małym, nieurodzajnym, przeważnie pustynnym?

— Będziemy pracowali nad tym, żeby pustynię zamienić w glebę urodzajną.

Cóż... Fizycznie jest to możliwe. Cztery miliony ludzi zmieści się jakoś w granicach Palestyny. Mogą nawet pracować nad przeistoczeniem pustyni w jedną wielką urodzajną oazę. Mogą dowiercić się do wody w skale, żwirach i piachach, przeciągnąć sieć kanałów irygacyjnych, okrętami i taborem lądowym nazwozić miliony tonn czarnoziemiu.

— Ale kto to będzie opłacał tę olbrzymią armię pracy, nim dokona swego dzieła? Kto ją żywi? — pytam.

— My sami. Żydzi.

— A wiele to będzie kosztowało takie przedsięwzięcie? Czy aby znajdziecie na to środki, dzisiaj zwłaszcza, kiedy tak szybko ubożejecie?

Na to pytanie odpowiedzi nie dostałem. Milczenie, jakie zaległo teraz między nami, zrozumiałem jako przestrożę; nie przeliczaj entuzjazmu i wiary na żadną walutę świata.

— Cztery miliony, dajmy na to. Ale to zaledwie czwarta część waszego stanu liczebnego. Co się ma stać z tymi trzema czwartymi?

Znowu odpowiedź niejasna. Będą czekać. Na co czekać? Aż Palestyna rozszerzy swe granice? W jaki sposób? Przez podbój? Przez nadania terytorialne ze strony sąsiednich państw? Państwo-naród, którego to narodu główna masa, główna siła, pozostaje poza obrębem państwa, w rozproszeniu? Piemont żydowski? Chaluc kiwa głową potakująco. Więc tak. Ale Piemont był przecież nie tylko ogniskiem samodzielności, ale też częścią składową zwartych i jednolitych obszarów etnograficznych, które go otaczały. Gdzież są te etnograficzne wokół Palestyny obszary żydowskie?

Moje pytanie znowu pozostaje bez odpowiedzi. Znowu milczenie, w którym czuje się lekka urażę.

Aż takie oto usłyszałem słowa:

— Rzym zniszczył nasze państwo, zburzył świątynie, setki tysięcy żydów uprowadził w niewolę, odebrał ziemię i oddał ją swoim żołnierzom...

— Więc?

— Rzym powinien nam dziś dopomóc w odbudowaniu naszej ojczyzny.

Rzym dzisiejszy, to chrześcijaństwo, naturalnie.

— Jak ma wyglądać ta pomoc?

W spokojnym głosie „chaluca“ dźwięczy nuta łagodna:

— Niedużo żądamy. Tylko tego, byście nam nie przeszkadzali.

— Kto wam przeszkadza? Polska? Włochy, Francja czy inny jaki kraj, wyznający chrześcijaństwo w rzymskiej interpretacji? Czy Kościół katolicki? A może nacjonalizm Europy? Pewnie pan ma na myśli Anglię, która opiekuje się organizacją Syjonu? Anglię protestancką, antyrzymską, w której takimi rozporządzenie wpływami? Czy ona wam przeszkadza i czy ją uważacie za spadkobierczynię obowiązków Rzymu wobec was?

Chaluc milczał ostrożnie. Nie chciał ujawniać swej myśli. Uważał zapewne za rzecz nietaktowną żalenie się obcemu na protektorke nowego Syjonu. Czuję, że ten zamyślony chłopiec ma do mnie teraz żal. Żal o co? Pewnie o to, że badam jego marzenia od strony ich prawdopodobieństwa.. Może mu się zdaje, że chcę gasić jego zapal, że mam w tym jakiś cel, ażeby odszedł po tej rozmowie smutny lub zachwiany w sobie.

Bajki!

Cóżby mi przeszkadzał entuzjazm młodego żyda, który opuścił Polskę dla budowania własnej ojczyzny?

— Pan przecie wierzy, — mówię, — że życzę wam z całego serca, byście mieli te miliony żydów od nas, z pośród nas, z Polski. Wierzy pan, że i nam na tem bardzo, ale to bardzo zależy?

Milczy. Czuję coraz dotkliwszą urazę. Teraz on mnie nie rozumie. Miliony z Polski? Ale gdzież tam! Tak się zaczynały rozmowy z innymi żydami w drodze i w Palestynie. „Z panem się dogadamy. Pan narodowiec, my narodowcy. Pewnie się zrozumiemy“. I rozumieliśmy się, dopóki była mowa o Syjonie, jako o celu celów żydostwa. Kiedym jednak zaczynał mówić o milionach żydów, które pozostaną poza Syjonem, a przede wszystkim o żydach w Polsce, o tem, że

ich trzeba w masie przewozić do Palestyny, wtedy kończyło się zrozumienie, a zaczynała cicha uraza.

— To jest też ziemia ojców naszych i dziadów. Choćby groby...

— Trzeba się umieć rozstać ze świeżymi grobami i wrócić do grobów, które zdobią waszą historię, na waszej ziemi — mówię.

— Historia narodu żydowskiego nie kończy się w Palestynie itd.

— Niech pan nie wysnuwa żadnych wniosków. dopóki pan nie zobaczy tego, czegośmy dokonali w Palestynie. Teraz mamy prawo wymagać od was, żebyście patrzyli na żydów, jako na naród twórczy, który doskonale może współpracować z narodami Europy.

Więc Syjon, nie jako ostateczny cel żydostwa, cel sam w sobie, ale tylko środek do osiągnięcia innych celów?

— Niech pan zobaczy, czegośmy dokonali.

— Poto przecież jadę.

Więc Tel-Awiw. A jeszcze ważniejsze od Tel-Awiwu, oczko w głowie syjonizmu, jego duma, wiara, nadzieja i miłość: kolonizacja żydowska na roli, laboratorium, w którym odbywa się cud przeistoczenia nomady - kupca - pośrednika międzynarodowego w istotę związaną ze swoją historyczną ziemią, jako żywicielką ciała i dusz.

Okręt czy most ?

Dla dziennikarzy, biorących udział w pierwszym lewantyńskim rejsie „Polonii“, nazajutrz po wypłynięciu na pełne morze urządzona była konferencja prasowa. Narazie przewodniczył minister Arciszewski, jako przedstawiciel rządu, specjalnie delegowany na inaugurację linii. Obecni też byli obaj dyrektorzy, p. Al. Leszczyński i p. Plinius, konsul polski w Tel-Awiwie p. Hauzner, przedstawiciel Izby handlowej polsko-palestyńskiej, i wreszcie dr. Rupin, członek wielkiej egzekutywy syjonistycznej, działacz i uczoney bardzo przez całe żydostwo szanowany.

Przedmiotem konferencji były, juści, sprawy nowej linii, jej cele i organizacja. Z zagajenia obrad, którego się podjął naczelny dyrektor, pan Leszczyński, jako zwierzchni gospodarz okrętu, a potem z przemówienia min. Arciszewskiego, dowiedzieliśmy się, że nowy szlak, rezultat sumiennych przemyśleń, oraz dużych wysiłków organizacyjnych i dyplomatycznych, stał się poniekąd koniecznością państwową. Ruch emigracyjny z Palestyny do Polski wzrasta w takim tempie, że uruchomienie polskich na tym szlaku okrętów opłaci się zarówno państwu, jak i żydom.

Dalej jeszcze w swoich wywodach poszedł konsul z Tel-Awiwu. Otóż ten to p. Hauzner, zresztą żyd prawowierny, zdobył się na odwagę, i jasno powiedział, jak rzeczy się mają. „Wszyscy wiemy dobrze, że w Posłce żydów jest za wielu, a w Palestynie za mało“. Dostał za to dyskretny oklask od kilku osób, i nikt z nas, polskich dzien-

nikarzy, nie przewidywał, że stwierdzenie takiej oczywistej prawdy może się spotkać z czyimkolwiek sprzeciwem. To też w tym punkcie porządku dziennego, który przewidywał dyskusję, reprezentant prasy polskiej miał prawo oświadczyć, że tak stawiana kwestia może liczyć na życzliwość całego społeczeństwa polskiego.

To był punkt zwrotny konferencji, a jednocześnie kres sielanki. Bezpośrednio po tym przemówieniu zabrał głos przedstawiciel prasy żydowskiej, redaktor „Naszego Przeglądu“ p. S. Wołkowicz. Mowa jego w treści oraz w intencjach zaczepna, była jednak wzorem oględności w doborze słów, obrazów i przenośni. Oględność ta wyrażała się przede wszystkim w niedomówieniach, w unikaniu ostatecznych wniosków, pozostawionych domyślności słuchaczy. Niektóre aluzje czuło się nietyle w samych słowach, co w wibracji atmosfery, raczej nerwami niż świadomością. Był w tej przemowie uśmiech przyjazny i zapowiedź oporu. Wszystko to zawarte w kilku potocznych, pozornie eleganckiej a w gruncie rzeczy zaczepnej improwizacji, pod względem obrazowania trafnie jednak dostosowanej do tła obrad.

— Panowie mówicie wciąż o nowej linii, jako o okrętach. Ale zapominacie o jednym. Zapominacie, że dla nas, dla żydów, to nie są okręty. Dla nas bowiem to jest most. Most między Polską a Palestyną.

Taki był sens pierwszej części tego wystąpienia.

A potem, w replice, danej bezpośrednio p. Hauznerowi i tym, którzy go oklaskiwali:

— W Polsce niema za dużo żydów. W Polsce żydów jest tylu właśnie, wielu ich jest. Nie można przecież powiedzieć, że mamy np. za dużo Niemców lub Ukraińców...

Mowa ta, choć niby krótka, zawierała w sobie jednak szeroki, wszechstronny skrót programowy. A więc nie okręty, nie wywóz żydów, ale

most, po którym się idzie, a potem, jeśli się zachce, to się wraca. Wyjaśnienie takie rozwiewało wszelkie wątpliwości co do poglądów żydostwa polskiego na sprawę ich emigracji. Syjon będzie siedzibą narodową, owszem, ale w takich rozmiarach, w takim zakresie, na jaki pozwolą warunki, czy też najwyższa władza organizacyjna żydostwa. Komentarz, bez którego niesposób byłoby zrozumieć ani położenia prawno-politycznego żydów w Polsce pod obecnymi jej rządami, ani tej cierpliwości, z jaką żydzi traktują powolny, bardzo nawet powolny wzrost swoich sił w Syjonie. Żydzi bowiem mają czas. Żydzi przetrzymają opór Anglii, aż zmusi ona swoich muzułmanów do pogodzenia się z faktem, że Palestyna będzie żydowska.

Kiedy to się stanie? I czy się stanie? Czy zgodzą się na to wyznawcy Mahometa i czy zgodzi się świat chrześcijański, dla którego Palestyna jest Ziemią Świętą? Jak się rozwiąże ten węzeł aspiracji, uprawnień i pretensyj? Jaka drogą pójdzie spór, choć ostry, nawet krwawy, ale narazie wybuchający zaledwie epizodami, spór, który jeszcze nie wciągnął największej potęgi duchowej świata, mianowicie Stolicy Apostolskiej?

Zresztą — oddanie żydom Palestyny nie ułatwi, jak wiemy, kwestii żydowskiej. Idealny Syjon nie zmieści w swych granicach czterech milionów. Cyfra ta jest czystą poezją. A gdyby nawet? Będzie to wówczas czwarta zaledwie część ich narodu. Więc trzy czwarte, w najlepszych warunkach, miałyby pozostać poza granicami swego państwa. Teraz już rozumiemy ideę mostu poprzez morza. Rozumiemy, dla czego świat bez szczególnego zapалу przygląda się eksperymentowi syjonistycznemu. Bo tam, gdzie żydów jest wielu, jak np. u nas, cóż pomoże Syjon? Gdzie zaś ich jest garstka, tam niema sprawy żydowskiej.

O cóż więc tu chodzi?

Do Palestyny szły miliony i miliardy żydowskie z obu półkuli. Jesteśmy świadkami dużego niewątpliwie wysiłku, podjętego nad wychowaniem kadr pionierskich, wysiłku, jeżeli chodzi o jego wyniki, to w pewnym, liczebnie skromnym zakresie — jednak osiągniętego. Ale jaki jest cel tych ogromnych wkładów pieniężnych, tej potężnej reklamy, z jakiej korzysta „Wzgórze Wiosny“ i palestyńskie kolonie rolne? Kiedyśmy zwiedzali Tel-Awiv, pozwoliłem sobie w rozmowie z jednym z tamtejszych żydów na taką uwagę:

— Przecież i my zbudowaliśmy Gdynię w ciągu kilku lat, my, od was o wiele biedniejsi materialnie. A niech mi pan powie, gdzie są te książki różnojęzyczne o Gdyni, gdzie podziw świata?

Usłyszałem znamienną odpowiedź:

— Tak, istotnie. Ale wy umiecie budować. Gdynia nie jest pierwszym miastem, przez was zbudowanym. Macie zresztą i mieliście swoje państwo. My zaś uważani jesteśmy za żywioł niezdolny do pracy twórczej...

W słowach tych dźwięczał skomplikowany akord: skarga, ironia i triumf.

Bodaj, że to w tych właśnie słowach kryje się sens i cel nowego Syjonu. Zagrożonemu w swoich podstawach żydostwu Syjon ma dopomóc w dwóch najcięższych bolączkach. Po pierwsze: wzmocni zachwiane wskutek waśni i doznanych wstrząsów samopoczucie narodowe choćby przez wyhodowanie pokoleń pionierskich, karnych, borykających się z własną naturą i z przeszkodami zewnętrznymi. Powtóre: Syjon ma zmienić legitymację żydostwa, daną mu przez dzieje. Pośrednik, kupiec, komiwojażer, wędrowny rewolucjonista zgłosi się po nową rubrykę w papierach osobistych. Zażąda, by mu w tej rubryce wypisać, że jest współpracownikiem i



współtwórcą form świata według wzorów cywilizacji europejskiej. Powie, że żydzi budują przecież miasta, uprawiają rolę, mogą więc organicznie i uczuciowo związać się z każdym krajem, w którym się znajdują w gromadzie.

Kiedyśmy wracali już do kraju, jeden z dziennikarzy żydowskich napomknął nawet:

— No, teraz to panowie sami widzicie, że śmiało można nam dać pod uprawę nawet nieużytki. Mam na myśli Polesie.

Niesposób było mu wytłumaczyć, że Polesie, jako obszar graniczny, musi być zaludnione przez żywioł rdzennie polski, i że wogóle — co tu gadać o kolonizacji żydowskiej w Polsce, skoro my sami na własne potrzeby ziemi nie mamy za dużo.

Tego żydowski publicysta nie chciał czy też nie mógł zrozumieć. Bo przecież te wolne przestrzenie błot i nieużytków, bo praca twórcza, bo obywatelstwo, bo równouprawnienie...

No i to, że w Polsce są nietylko Polacy ale i Żydzi, a Żydów jest tylu tylko, ilu ich jest.

Tak to było powiedziane.

*

Kończąc tę notatkę, zdaję sobie sprawę, że trzeba rzecz zamknąć jakimś interesującym szczegółem.

Otóż, gdy „Polonia“ po trzech dniach podróży wpływała do portu w Haifie, usłyszałem nieoczekiwaną, wręcz sensacyjną wiadomość:

— Konsul Hauzner odwołany ze swego stanowiska w Tel-Awiwie.

To ten sam konsul Rzplitej, zresztą starożytny, który na konferencji prasowej jasno i wyraźnie powiedział, że w Polsce jest Żydów za dużo.

A jednak — most

Pierwszy dzień w Palestynie. Dusza cała w sercu, oczy na wierzchu, nogi — rzekłbyś — starte do połowy długości w marszach, skokach i stójkach. Od wczesnego rana ruch, emocje, bo na całą Palestynę czasu mamy śmiesznie, a właściwie — tragicznie mało. W Haifie zatem wprost z portu do arabskiej taksówki i pod mocnym gazem w drogę. Do wieczora zwiedzamy parę kolonij żydowskich, jesteśmy w Nazarecie, wpadamy nad morze Galilejskie, wszędzie przejęci, zziązani i wzruszeni.

Wyrażając się językiem pątników, którzy kucnąwszy na pokładzie, przez nigoko nie zauważeni, cichutko jechali z nami nieliczną, zwartą kompanią do Ziemi Świętej — kraj tu już daleki, bardzo zamorski, i bardzo, ale to „bardzo zagranica“. Wschód płonący słońcem, po drogach karawany osiołków i wielbłądów, biblijne stada owiec na skąpych pastwiskach. Głębokie turkusowe niebo, widnokregi przyprószone złotym pyłem, góry czerwone albo ciemnożółte, z rozpadlinami wypełnionymi zimnym fioletem. Wszędzie historia, tchnienie wieków, każda piędź ziemi nasyciona tragedią, cudami, uniesieniem, tęsknotą.

Biały upał przepływa przez pudło naszej limuzyny. Na zakręcie wyskakuje niski i pękaty dom z alarmującymi znakami: Zajeżdźnia! Benzyna! Gospoda!

— Parlez - vous francais? Sprechen sie deutsch? Parla lei italiano?

Mój towarzysz ma formułę znacznie prostsza:

— Proszę o piwo — woła po polsku. — Czy aby zimne?

— Pitanie, czy zimne? Jak może być ciepłe piwo w lodu?

— No, skoro mamy tu „pitanie“ i to „w lodu“, to jesteśmy już jakby u siebie. Przy piwie „w lodu“ — indagacja: skąd, dokąd, poco. „By my to aż z Tomaszowa“ — powiada szynkarka z westchnieniem, które jest nabrzmiąle od sentymentu. „Co tam słycać w tym naszym Tomaszowie? Bo to proszę panów, z nami to było tak. Kiedy umarła moja siostra“ i t. d.

Piwo jest bardzo przeciętne. Nie koniecznie zimne, ale zato gorzkie. Syryjskie, z Bejrutu. Wiele płacimy?

— No, no, no... Ktoby to pomyślał, że panowie znają Tomaszów... Szesnaście piastów. Że drogo? U nas, w Polsce, taniej, wiadomo. Ale tu — to bardzo drogi kraj. Dawno panowie byli w Tomaszowie?

W Tyberjadzie mniej więcej taka sama scena. Gospodarz jadłodajni, piotrkowianin, po naradzie odbytej z nami na temat wina i potraw, pyta o Piotrków. Słucha, kiwając głową i powtarza: „Piotrków, Piotrków, Piotrków“... Nie był tam już dwadzieścia lat, Widać, że nazwa rodzinnego miasta przemawia doń wspomnieniami młodości. Może przez te wspomnienia będzie mu się dzisiaj gorzej pracowało? Będzie się może mylił w rachunkach? Płacąc, zwróciliśmy uwagę na dość wysoką — stosunkowo — sumę.

— Nie trzeba było zaczynać z tym Piotrkowem — mruknął niechętnie mój towarzysz, mądry, lecz zapóźno, po każdej szkodzie.

— — — — —

— Niechaj pan nam powie, czy wy, emigranci żydowscy, zrośliście się już sercem z Palestyną — spytałem kogoś, kto się słusznie zaliczał do elity syjonistycznej.

On zaś, odgadłszy intencje mego zapytania, odrzekł:

— Palestyna jest naszą ojczyzną mistyczną, ojczyzną z modlitwy, ziemią obiecaną, którą jednak trzeba jeszcze zdobywać, nim się ją całkiem odzyska.

Potem dodał:

— My przeważnie jesteśmy z Polski. Stale ją wspominamy, zresztą, ona się sama ciągle nam przypomina. Czy mogłoby być inaczej? Ja, na przykład, w Polsce mam rodziców, braci, siostry, i żonę z dzieckiem. Z tą moją żoną to było tak: kiedy ona chciała jechać, to się jej opierałem. Potem, kiedy ona mnie do wyjazdu przekonała, to nagle mówi „jedź sam, bo ja zostaje“. Więc co to ja chciałem... Aha, tak! Tutaj nam jest bardzo, bardzo dobrze.

Nietrudno było domyślić się dramatu, jaki przeżywał ten człowiek, który całym swoim ludzkim, codziennym sercem jest jeszcze tam przy swojej rodzinie, u nas, w naszym kraju, a tu w Syjonie, trzyma go pewnie obowiązek organizacyjny, może romantyzm, więzy ojczyzny mistycznej. Nie wiem co, zresztą. Boję się, czy do faktów, zjawisk w Palestynie notowanych, nie przykładam miarki zbyt, powiedziałbym, słowiańskiej, polskiej, romantycznej, szlacheckiej, parafialnej — czy ja wiem jakiej?

— Niedługo wybieram się do Polski w odwiedziny — oznajmia mój rozmówca z uśmiechem, wyrażającym szczerą radość. — Rozumie pan, czasem trzeba zajrzeć do swoich starych kątów.

...Publicysta żydowski w salonie „Polonii“ na konferencji prasowej uprzedził przeciw wszystkim:

— Polska linia lewentyńska — to nie okręty do wywożenia żydów, ale most.

— — — — —
Potem znów taka scena — nazajutrz. Auto-bus, wiozący nas z Tel-Awiwu do Jerozolimy w

drodze popsuł się i stanął. Kierowca, zrzuciwszy kurtkę, ociekającymi oliwą łapami gmerał w motorze, mimo uszu puszczając docinki, jakie się nań sypały z unieruchomionego forda. Połajanka odbywała się nasamprzód po hebrajsku, jak nakazywałby dobry w Syjonie obyczaj. Jakiś smukły jegomość ze śpiczastą bródką i w panamie, poto tylko wyszedł z maszyny, żeby móc stanąć nad kierowcą i wymyślać zbliska. Że mu jednak zabrakło wkrótce słów hebrajskich, więc jał się niemczyzny. Musi być punkt o szóstej w Jerozolimie — termin, interes. Interes! Interes! I co za wstyd! Jadać przecież turyści; co oni sobie pomysła, co oni powiedzą! A on musi być o szóstej punkt. Punkt! A maszyna stoi. Co za porządki!

— Ten pan to uciekł zpod Hitlera — objaśnia nas przysadkowata, niezwykle dużo miejsca zajmująca dama w brązowej pelerynie.

Milczący dotąd mechanik musiał coś wreszcie odpowiedzieć, bo głos antyhitlerowca z brzmienia nagany przeszedł w ton napastliwy. Teraz już słyszeliśmy duet: klasyczny nadnarwiański: „idisch“ i dialekt berliński, pretesjonalnie nawet uwypuklany. Potem, pod działaniem emocji szoferowi wyrwało się pocziwe, swojskie „chole-
ra“. I zaraz replika antyhitlerowca, po odrzuceniu ceremoniału syjonistycznego referowana po polsku: „To jest porządki? To jest porządki“. „Idź pan do cholery i nie przeszkadzaj pan!“ „Kogo pan posyłasz do cholery? I za co? Za to, że jest nieporządki? Bo czy to jest porządki, jak ja nie dojadę na szóstą, a ja na szóstą muszę, muszę, muszę!“ — coraz mocniej grzmiała ofiara Hitlera, jak się wnet okazało, rodem z Tarnowa.

Wieczór. Haifa. Nagrzane za dnia mury dyszą gorącem, jak kaloryfery. Od morza idzie lekki, wilgotny ciąg. Ulice pełne świateł, zgiełku, w którym się prześcigają Arabowie i żydzi. W kawiarniach ryczy radio lub rzeżą gramofony.

„Oczy czornyja, oczy strastnyja“... „Cała Warszawa zawoła nam halo, to zachwyciiiło nas“... „Ah, publiczki“... Więc to Lewant. Daleka, daleka zagranica. Ciepłe morze, palmy, folklor arabski. „Cała Warszawa zawoła nam: halo, to zachwyciiiło nas!“...

Jesteśmy na niedużym placu, ocembrowanym dwupiętrowymi domami.

— To było tak — opowiada skupiony chaluc przebieg rozruchów. — Myśmy stanęli tutaj, a stamtąd szli oni. Tu, z za tego węgła wybiegł między nas, ze wzniesionymi w górę rękami, oficer angielski i padł nieżywy. Cofaliśmy się w tamtym kierunku, bo stąd znów nadeszły Arabom posiłki.

Koło nas zebrała się garstka żydów, która się stała wnet niemałą gromadą. Opowiadania, znane im niechybnie z tysiącznych wersji, a może i z przeżyć osobistych, słuchano z uwagą i ze zgrozą. Od czasu do czasu padła jakaś uwaga, uzupełniająca obraz zdarzeń. Ci ludzie patrzyli nam w oczy pilnie, z przejęciem, natarczywie, jak gdybyśmy byli komisją, która zjechała tu po to, żeby winnych ukarać a skrzywdzonym dać za-
dośćuczynienie.

Idziemy dalej w ślad za naszym chalucem. Tłum rozstępuje się przed nami miękko i posłusznie.

— A panowie skąd? — zatrzymuje mię młoda żydówka w białym fartuchu, wdzięcznie oparta o szafkę, z której podwójnym kulfonem sterczał czub balonu z wodą sodową.

— Ten pan z Polski. Dziennikarz. — objaśnia ktoś z naszej przygodnej asysty.

— A z jakiej redakcji? — śpiewnie pyta urodziwa „sodówka“.

Dokoła siebie czuję wał żydów, nieruchomy, oczekujący. Była taka chwila, kiedym fizycznie niemal poczuł ucisk osamotnienia, a może i pewien lęk, który bywa tego osamotnienia bezpo-
średnio dalszym ciągiem. Okalająca mnie gro-

mada czekała na odpowiedź. Trzeba było zacząć coś mówić, zwłoka przypiekała mnie już pewnym wstydem.

— Gdybym powiedział, że jestem z „Hajnta“ to czy pani by mi uwierzyła? — metoda żydowską odpowiadam pytaniem na pytanie.

Milcząca moja asysta poruszyła się. Rozległ się cichy, zbiorowy śmiech ludzi, znających wartość „szmoncesu“. I znów jakby echa Warszawy — tym razem warszawskiej premiery. Więc to jest Lewant, kraj za trzema morzami, kraj, pływający się w słońcu i w historii.

Panienska w białym fartuszkach nie ustępuje. Chce koniecznie wiedzieć: skąd, z pod jakiego znaku. Niema sensu się ukrywać. Bo i poco. Ciekawość „sodóweczki“ zaspokoilem zwięzłą informacją:

— Z prasy narodowej.

Tuż przy mnie padł okrzyk — po hebrajsku, wyrażający napewno — nie zachwył. Odpowiedziało mu zbiorowe poruszenie.

— Co pan mówi? — pytam trochę ostro.

Tłumaczy mi najbliższy sąsiad zapytanego, z pośpiechem, świadczącym o tendencjach pokojowych:

— Ten pan powiedział tylko „uj, to lepiej“.

Wiedziałem już, co to znaczy. To, co ów pan powiedział, po polsku brzmiałoby z pewnością: „oj, to gorzej“. Ale oświadczenie moje, jak zauważyłem, nie wpłynęło niekorzystnie na postawę gromady żydowskiej wobec egzotycznego gościa. Zaciekawienie, które widziałem w oczach żydów, wzmogło się, stało się niegroźnym zresztą zdumieniem. Endek, jawny endek w Syjonie!

— Endek! — ucieszyła się panienska od wody sodowej. — Cóż to za wizyta! No i co jest, pytam? Wołał pan w Warszawie: żydy do Palestyny! No, przyznaj się pan, takeś pan wołał, prawda? Może nie? Choć raz jeden to pan musiał tak zawołać. Prawda?

— Raz, istotnie, zdarzyło się tak, że zawołałem... — cicho, cichutko rzeknę, zbudowany wspaniałomyślnością, z jaką chalucka haifska przebaczała mi moje przewinienia.

— No widzi pan — triumfuje panienka, a w głosie dźwięczy nuta łagodnego żalu. — I co się okazało? Żydzi są w Palestynie. I czy tylko żydzi? Nie tylko, bo i endecy nawet.

— Ja jestem tylko turystą. Jeden albo dwóch endeków na parę dni — to się chyba nie liczy.

Panienka chwieje głową, trochę rozgoryczona.

— Rozumiem takie uszczypliwości, owszem. Chciał pan powiedzieć, że my nie turyści w Polsce, prawda? Że nie na jeden dzień, nie na dwa, prawda? No, proszę się przyznać, że pan to miał na myśli.

— Skoro pani sobie tego życzy...

— No widzi pan — głos panienki ma brzmienie coraz bardziej liryczne. — Ale się u nas podoba, prawda, że podoba? A pan dobrodziej mieszka, jeśli wolno wiedzieć? Koło Wspólnej? A gdzie? Który numer? Naprawdę? To tam i mój wujaszek, obok, w sąsiednim domu. Wie pan, taki przystojny, w binoklach. Wujaszek, naturalnie, a nie dom. Już cztery lata nie byłam w Warszawie. No, co tam słyszać? Czy naprawdę taka wyborna jest ta „Banda“? Podobno, to coś niesłychanego.

Na twarzy panienki od wody sodowej maluje się rozrzewnienie.

Rozglądam się wokół — i mnie też coś zaczyna rozbierać. Skąd ja znam ten obrazek: młoda semitka, oparta na balonie z wodą, tłum żydów, niskie, zaniedbane domy, nudno stojące nad chodnikiem z czterech stron placu. Jakiś zapach odległych dni, a jakżeż bliskich i żywych! Tu mija nas stary chasyd, ciężko wystukując kijem rytm niedołączonych kroków. Gdzieś trzasnęła zgrzytliwie zapuszczona w sklepiku żelazna żaluzja. Ktoś ziewnął spazmatycznie, ktoś wołał „Abrum! A-

brum“. Tak, wiem, mam! To Stary Rynek w mojej przeczacnej Łomży. Tak jakbym widział róg Senatorskiej, tu chyba jest Rządowa, tamtędy schodzi się na Rybaki!...

— Tyle czasu, wie pan, nie miałam już listu, że mnie to zaczyna niepokoić.

Już nie jedna, ale trzy, cztery panienki ze sklepów i kawiarenek zebrały się wokół mnie. Jedną drugą powiadamia śpiesznie: „Z Warszawy! Uj, z Warszawy? Kiedy? Co tam nowego? A co grają w teatrach? A koncerty piątkowe w Filharmonii? A „Wiadomości Literackie“, co? A czy Tuwim pisze co dużego? Co jest z tym tunelem pod Warszawą? To musi być wielka sensacja“. ...I znów: Ten pan z Warszawy. Z Warszawy? Z Warszawy! Z Warszawy!

Późny wieczór stygł powoli. Stojąca na reddie eskadra torpedowców angielskich nagle jęła światłami reflektorów zmiatać gęstniejące na niebie ciemności. W przyległej uliczce rozsłochał się tragiczny osiel. Czarna, postrzępioną masą zwisała nad miastem góra, migocąca ogniami. Od morza szedł podmuch coraz rzeźwiejszy. To jednak nie Łomża, to prawdziwy Wschód!

— Ten pan z Warszawy...

— Abrum! Abrum! — niecierpliwił się czyjś starczy głos.

— — — — —
Tak, niewatpliwie most....

Ziemia dwakroć obiecana

Siedział z nami przy stole cichy wsłuchany w tok naszej gawędy, ten nowy jerozolimski znajomek. Znajomek, podobnie jak i cukiernik Zając, z przypadku. Zwabiony głośną rozmową, szedł za nami blisko, ale nie za blisko, w takiej jednak odległości, że się czuło czyjaś obok nas obecność, czyjś krok, stosujący się do nierównego marszu naszej trójki. Kiedym się odwrócił zniechceniście i przystanąłem w pozycji wyczekującej, on wtedy zbliżył się nieśmiało, z przyjaznym uśmiechem, czyniąc taki gest, jak gdyby chciał na powitanie ściągnąć ze swej głowy obcisły beret. Powiedział swe nazwisko, poczem: „Panowie z Polski? Może z Warszawy?” — i szedł już razem z nami, w szeregu, pustawą z powodu późnej pory Jaffską ulicą, małowówny, ale — wnosząc z wyrazu oczu — rad z zawartej z nami znajomości.

— A pan?

Oznajmił wtedy, że jest studentem uniwersytetu hebrajskiego w Jerozolimie. Znowu potem zamilkł, nie zdradzając żadnej chęci do podtrzymania rozmowy, która od samego początku jakoś się nie kleiła.

— Aha, więc pan studiuje?

Młodzieniec nie kwapił się z odpowiedzią na to całkiem zresztą zbędne zapytanie, postawione tylko dlatego, żeby przerwać przedłużające się milczenie, „Studiuje” — odparł wreszcie. Potem, zaspokajając naszą kurtuazyjną ciekawość, powiedział kilkanaście słów o sobie, kim jest, skąd

pochodzi, uśmiechnął się melancholijnie, nawet nie do nas, tylko przed siebie — i ponownie zaniemówił. Jedną zdawał się mieć tylko troskę: dotrzymać nam kroku, co było zadaniem o tyle niełatwym, że każdy z nas, zmordowany całodzienną łazęgą, stapał nierówno, bez rytmu.

Żeby jakoś tego studenta rozruszać, żeby go ośmielić, opowiadamy mu z humorem, jak to było z tą knajpą, z której właśnie przed chwilą wyszliśmy, bardzo ubawieni tem, cośmy tam zastali.

— O, widzi pan, ta oszklona rotunda na rogu tamtej ulicy, przestronna hala z mrowiem stolików, bez gości. Uderzyła nas — powiadam — werwa, z jaką orkiestra tej kawiarni grała coś bardzo skoczego. Kapelmistrz aż trząsał się, szalał, wie pan, w dyrygenckim transie, przed pustą salą, na której uwijała się bez sensu liczna, ubrana w białe fartuchy służba. Widok, z zewnątrz, z ulicy równie groteskowy, jak koszmarne. Więc prawo pustki; wie pan, jest takie prawo w fizyce... Słowem pustka wciągnęła, wchłonęła nas z ulicy w tę knajpę. Otwierając szklane drzwi owego przybytku, mogliśmy liczyć na to, że wnosimy z sobą życie, że dajemy tym grajkom i służbie cel, uzasadnienie, rozumie pan. I ciekawa rzecz, zjawisko, trudne do zrozumienia... Ledwośmy weszli, muzykanci osowieli, kapelmistrz stracił też werwę, kelnerzy pochowali się po kątach. Jeszcze chwila i orkiestra wogóle przestała grać. Otoczyła nas atmosfera smutku, czy ja wiem? — może nawet niechęci. Ciekawe... Czy to nie dlatego, że przed naszym zjawieniem się tym ludziom było jakoś raźniej — zajęci swoimi czynnościami nie widzieli pustej sali. A kiedyśmy zasiedli we trzech, przy jednym stoliku, jako ów jedyny stolik zajęty, to wtedy dopiero okazało się, co to są puchy, tragiczne puchy w takim ogromnym interesie. Prawda, ciekawe? Psychologicznie — powiedziałbym, interesujące. Prawda?

Słuchał uważnie, bez uśmiechu. Opowiadanie nie zajęło go. Myśły jeszcze się śmieli we trzech,

żartowali i dziwili, każdy z nas miał do dorzucenia jakiś szczegół, jakiś domysł, a on nic, trwał w niewzruszonej, trochę w końcu drażniącej powadze. Niech że cię, panie student! Coś mi pan wygląda na starozakonnego teologa, powiedzmy wprost: na rabina, z tym swoim absolutnym brakiem humoru, z tą niewrażliwością na dziwy i dziwactwa zjawisk.

Jak potem przekonaliśmy się, to nie był rabin. Oświadczył, że nie ma nic wspólnego z żadną religią. Według niego Mesiaszem żydowskim w personifikacji konkretnej mógł być, na przykład Herzl, a w szerszym pojęciu, pozaosobowym, — żydowska świadomość narodowa, która znowu może się wcielić w jakąś postać, mieć imię, stać się wodzem. Oczytany był widać; znał filozofię nowych czasów, zaufał jej, wiarę swoją oparł na niej. A mimo, że wierzył, że przyjął naukę niesłychanie podniecającą wyobraźnię i siły moralne, naukę, która nietylko krzepi, ale rozplómienia — pozostał niewzruszony, poważny, odporny na podniety z zewnątrz, unikający starannie wszelkich momentów dyskusyjnych. Nie czuło się w nim żarliwości, znamionującej ideowców, była natomiast w tej jego powadze, właściwa wschodnim rasom skrytość, stanowiąca przeciw charakterystyczną cechę duszy żydowskiej...

„Szukaliśmy jadłodajni, w której można byłoby przy jakiejś niezagrażającej zdrowiu potrawie, niezbyt egzotycznej i niezbyt rytualnej, skosztować win palestyńskich, w znośnej cenie i w znośnych gatunkach.

— To tu — rzekł student i wskazał drzwi, za którymi ujrzelśmy spokojne i nudnawe wnętrze, przypominającą dawną naszą „Nadświdrzańską“, bo nawet z taką samą panią przy skromnym bufeciku, i z grupką starszych panów na sali, z których każdy był obłożony gazetami.

Zaproszony przez nas student siadł przy naszym stoliku i w porozumieniu z kelnerem, żydem rosyjskim, zaczął nam tłumaczyć jadłospis,

trochę koszerny, i szczegóły, zawarte w karcie win. Kiedy wszystko już było zamówione, znowu zapadł w milczenie. Było już dla nas rzeczą jasną, że swój udział w ogólnej rozmowie wolał ograniczyć do słuchania. Ale przy wieczerzy, po pierwszej lampce, ożywił się nieco. Na zapytanie, jak mu się powodzi, skrzywił się czy też uśmiechnął grymasem, któremu towarzyszył taki komentarz:

— Cóż... Skoro się jest studentem... I to w Jerozolimie... A Jerozolima, to bardzo drogie miasto.

Jadł z tajonym apetytem, a myśmy w duchu orzekli:

— Bieduje.

Musiał odgadnąć pobudki naszej gościnności, ponieważ po chwili, między jednym łykiem wina i drugim, z dumą oznajmił:

— O, ja już zarabiam. Pracuję przy budowie uniwersytetu, jako robotnik. Mam dwadzieścia piastków dziennie.

I zaraz dodał:

— Od wczoraj.

Rozumiem. Jest w Jerozolimie od trzech już miesięcy — zbiegł z ojcowskiego domu, niechybnie bez środków do życia, a zarobek znalazł dopiero wczoraj. W tych warunkach można mieć apetyt, trudny do ukrycia.

— Panowie chcą zobaczyć pewnie nasz uniwersytet? Czy panowie widzieli okolice Jerozolimy w nocy?

Nie widzieliśmy jeszcze ani uniwersytetu, ani najbliższych okolic, ale chętnie zobaczymy. Przede wszystkim musimy być na Górze Oliwnej, właśnie w nocy. A przy sposobności możemy zahaczyć i o uniwersytet.

Była noc chłodna, górską, nalana księżycowym światłem, w którym zbladły i zmizerniały elektryczne iluminacje miasta.

Student rozmówił się po arabsku z kierowcą taksówki. Auto lekko uniosło nas w splot bezludnych uliczek.

— Jedziemy teraz na Skopus, do naszej wszechnicy — uroczyście oznajmił nasz przypadkowy przewodnik.

Odpowiedzieliśmy, że chcemy najpierw na Górę Oliwną, taka bowiem stała umowa. Coś tam mruknął na znak doznanego zawodu, ale w końcu wychylił się ku kierowcy i zmienił dyspozycję.

— Dobrze, ale potem do uniwersytetu, — nalegał. — Panowie, to naprawdę trzeba zobaczyć.

Jesteśmy już za miastem. W świetle księżycy i w leciutkim, przejrzystym oparze falujące pagóry urastały nam do rozmiaru dużych gór.

Za szybą limuzyny mignął samotny dom w maurytańskim stylu.

— Pałac? — pytam. — Czyj?

Informacja studenta wywołała wśród nas lekkie poruszenie.

— Tu mieszka wielki mufti Jerozolimy.

Powiedział to głosem przesadnie obojętnym, jakby chcąc dać do zrozumienia, że ten dom nic a nic go nie obchodzi. Ot poprostu dom, a w tym domu mieszka nie wódz duchowy Arabów palestyńskich, twardy przeciwnik Syjonu, sługa i stróż Omarowej zdobyczy, ale ktoś nieważny, nijaki. Czy to była szczerą obojętność czy udana? W mrocznym wnętrzu auta nie sposób było zajrzeć do oczu studenta, do tajemnicy wyrazu.

Pędzimy asfaltową drogą, gładką niczem lustro. Stop. Góra Oliwna. Nad nami przezroczyście niebo i księżyc, okolony nimbem pawich barw. Wdole stok, ciemnym porosły gajem, a każde drzewo, ostrym zarysowane konturem, zdaje się być zniekształcone przez jakiś potworny, przeżyty kiedyś ból. Czyżby pamiętały tamtą Noc, kiedy świat stygł w grozie i w oczekiwaniu? Niżej jeszcze białała bazylika Getsemani, a dalej

było Jeruzalem, widocznie stąd, jako fantazja figur świetlnych.

Stoimy w głębokim milczeniu. Tutaj wyjaśnienia przewodnika są już niepotrzebne. Tutaj wogóle słów nie trzeba, tu braknie słów. Tu — Góra Oliwna.

— A nasz uniwersytet jest tam — przerwie nagle ciszę student, ręką wskazując nam coś, czego ja zresztą, jako krótkowidz, z tej odległości i w takim oświetleniu nie mógłbym dostrzec. — Czy panowie?... Czy już możemy jechać?

Trudno. Nie jesteśmy sami, trzeba się z tem pogodzić. Więc dobrze. Auto zatem wiezie nas tam, dokąd jaknajrychlej chce nas zawieźć nasz niecierpliwy przewodnik.

Po drodze folguje swej dumie, którą dyszą krótkie, urywane zdania:

— To będzie latarnia odrodzonego żydostwa. Taka naprzykład biblioteka naszej wszechnicy! Cztery miliony tomów. Więcej nawet! Tego jeszcze nie ma, ale to będzie. Tu musi być najpiękniejszy księgozbiór z pośród najpiękniejszych. Odrodzony naród żydowski stąd będzie czerpał wiedzę o sobie i o świecie.

Taksówka zatrzymuje się przed kamiennym kubenem z czełuścią bramy. U stropu mętnie błysnęła przepalona żarówka. Z ciemnej wnęki wychynał, gdyby jakaś sceniczna postać — wysoki młodzian w malowniczym płaszczu; z szeszi arabskiej, którą ciasno obwiązana była głowa i policzki, spojrzały na nas cierpiące oczy. Między Arabem a naszym studentem wywiązała się krótka rozmowa. Pewnie jakieś formalności.

Wchodzimy na dziedziniec. Wszędzie rumowiska kamieni, cegieł, szaflików — obraz odbywającej się budowy. Jeszcze wieleć tam kroków — i jesteśmy w owym słynnym amfiteatrze, uczelni. W dole półkolem biegnąca kolumnada, lekka w rysunku, białozielona od księżycowego światła. W głębi pustynia, z lewej strony garbata górami. Jeszcze dalej ostrzejsze migoty. To

jarzy się światłami solarnia nad morzem Martwem. Zewsząd owiewa nas dal i milczenie. Milczy też nasz przewodnik, najwidoczniej zdjęty zachwytem i dumą. Jego charakterystyczny, jaskrawo żydowski profil, wyraźnie obramowany nitką księżycowego światła, w tym steżeniu ekstazy i w tych dekoracjach nocy palestyńskiej, wydał mi się poprostu modelem typu i rasy.

— Pan syjonista — pytam.

— Jestem nacjonalista.

W głosie jego wyczuwałem pewną zaczepność.

Tak samo i w tej samej intonacji odpowiedział mi inny żyd: „Jestem nacjonalista“. I dodał, ironicznie się uśmiechając: „Ja wiem, że panowie woleliby, żeby wszyscy Żydzi byli syoniści. Ale przecie Syjon to jest marzenie, powiedzmy: próba urzeczywistnienia marzeń, a marzenie to coś takiego, co jest dalekie i nieuchwytnie... Próba może się nie udać. A naród wciąż jest, był i będzie, jako rzeczywistość. Palestyna to ziemia dwukrotnie nam obiecana. I co z tego, że obiecana, kiedy raz już nam ją odebrano, a drugi raz nie chcą jej dać? Przecież Balfour też obiecał. No i co z tego? A jeżeli nie dotrzyma słowa?“ wtedy ten Żyd wykonał jakiś misterny ruch głową, którego znaczenia nie mogłem zrozumieć. Takim ruchem można byłoby ilustrować słowa: „No, zobaczymy jeszcze“: — słowa z wykrzyknikiem i z wielokropkiem na końcu.

Student wgramolił się na jakiś obciosany kamień, jak gdyby chciał dotrzeć wzrokiem do samych krawędzi nocy, która zasłaniała mu ową dwakroć obiecaną ziemię. Łącznie z kamieniem, na którym stał, w tym swoim obcisłym berecie, naciągniętym do połowy czoła, z ramieniem wyrzuconym w bok dla regulowania równowagi, nasuwał myśl o pomniku, skomponowanym ze sporą dozą sarkazmu.

Znowu go spytałem:

— Czy pan wierzy w państwo żydowskie?

Zeskoczył ze swego cokółu i uważnie na mnie spojrzął. Uśmiechnął się niezrozumiale. Chciał pewnie coś odpowiedzieć, ale milczał. Był przecie z ludźmi obcymi, wobec których obowiązuje go oględność w słowach. Ludzie ci są mu tak dalece obcy, że kiedy on zastyga poprostu w ekstazie, oni sobie w najlepszym razie gwarzą, stawiają trzeźwe a niezbyt dyskretne pytania.

I zamiast odpowiedzi — ten sam ruch głową, który już kiedyś mię tak zastanowił.

Mijały chwile; student wrócił do swoich samotnie przeżywanych zadum i wzruszeń.

— Wie pan co? — mówię. — Ja myślę, że to było tak... Dopiero teraz mi przyszło do głowy takie wytłumaczenie zagadki. Poprostu to była próba jakiegoś nowego numeru.

— Co za próba? — zdumiał się młody Żyd.

— No wie pan, w tej pustej kawiarni. Korzystając z tego, że niema gości, orkiestra ćwiczyła się.

Zwrócił ku mnie zdziwioną twarz; z oczu pierzchnęło już rozmarzenie — wyrzała z nich ironia i uraza. I obcość, zimna dalekość.

Jednym z moich towarzyszków zatrzęsł chłód górskiej nocy.

— Panowie, chodźmy już. Czuje, że katar pewny.

Żyd uśmiechnął się wyrozumiale. Pewnie mu dokuczyło jego osamotnienie, przeżyte w naszym towarzystwie.

Znowu idziemy wśród rumowisk cegły i kamienia.

— A cóż z Einsteinem? — pytam. — Zawiódł? Nie chce waszej katedry?

Student lekceważąco wydał wargi.

— Kto nie chce być z nami, to niech zostanie tam, gdzie jest. Wogóle...

Zawahał się.

— Nas jeszcze stać na to, żeby nie liczyć do różnych strat.

Kiedy weszliśmy do bramy, z niszy wychylił się ten sam młody Arab, który nas wpuszczał do wszechnicy. Przyjrzałem mu się baczniej. Wysoki, szczupły, owszem, podobny do Garry Coopera.

— Panrawiłość, gaspada? ¹⁾ — pyta życzliwie z trudem otwierając usta.

Chwila zdumienia. Arab, przemawiający do nas tu, w Jerozolimie, w bramie uniwersytetu hebrajskiego — po rosyjsku!

— Pan skąd?

— Rodzina pochodzi z Kijowa — odpowiada dalej czystym akcentem południowo-rosyjskim. — Jestem studentem. Pracuję tu jako stróż nocny.

Kręcę głową. I mówię:

— A cóż to za maskarada? Co znaczy arabska szeszja na głowie?

Popatrzył na nas żałośnie. Potem spróbował się uśmiechnąć. Ale tylko się skrzywił, i grzbietem dłoni zaczął trzeć policzek.

— Eto oczeń prosto. Zuby bolat ²⁾.

¹⁾ Czy spodobało się panom?

²⁾ Zęby bolą.

Grzeczny Zając

Kiedyśmy się sobie nawzajem przedstawiali, on, uchylwszy kapelusza, bąknął coś w rodzaju: „Zając“. Może Zajdeman albo Zajdenbojtel? Ale mnie się zdawało, że Zając. W pierwszej chwili chciałem go nawet spytać: „Jak, za pozwoleniem, bom nie dosłyszał?“ ale odrazu uznał taką ciekawość, w akcie tylko formalnym, za niewłaściwą, przede wszystkim zaś za bezcelową. Dziś bowiem idzie on z nami ulicą, jako znajomy z przypadku, a jutro zejdziemy sobie z oczu prawdopodobnie nazawsze. Jutro bowiem mamy wrócić do Jaffy, a stamtąd do Polski, on zaś zostanie w Jerozolimie, jak nam później oznajmił — nazawsze, do śmierci.

— Panowie z Warszawy? Z samej Warszawy? — pytał z grzecznym uśmiechem na kosmatej, niemal po same oczy zarośniętej twarzy. — Bo ja jestem z kaliskiego. Panowie się nie gniewają, żem ja tak raz dwa podszedł na ulicy? Ja wiem, że to nie wypada, ale jakim usłyszał polską mowę i to w nieżydowskiej kompanii — bo wiem, że panowie nie są nasi — tom sobie pomyślał, że można będzie dowiedzieć się: co słyhać.

Szedł obok nas, mały z dużą kudłatą i dobrze już siwiejącą głową, okrytą aksamitnym kapeluszem z szerokimi rondami, z pod którego z za skroni zwieszały się skrecone starannie pejsy. Ubrany był w długą czarną kapotę; na krótkich, trochę krzywych nogach miał grube wełniane pończochy, sięgające kolan. Wogóle klasyczny typ małomiasteczkowego chasyda, ale już z ma-

nierami, z polorem, ze szkołą kurtuazji. Podczas rozmowy, którą zgrabnie zagaił, dowiedzieliśmy się, że Jerozolima to czysto azjatyckie, ale, owszem ciekawe miasto i że on się cieszy, żeśmy tu przyjechali. Radzi jednak wystrzegać się zawodowych przewodników, zwłaszcza Arabów, którzy jego zdaniem są drodzy a w pokazywaniu osobliwości — leniwi i niedbali. Ze słów Zajęca nietrudno było wywnioskować, że — owszem, dlaczego nie? — gotów — byłby służyć nam informacjami, doświadczeniem i znajomością terenu — i że wogóle jest do naszej dyspozycji.

— Panowie dopiero przyjechali i jeszcze nie mają noclegu? To ja mogę panom poradzić hotel Warszawski. Tylko, że u nas są dwa hotele warszawskie: jeden nazwany tak na pamiątkę Warszawy, a drugi taką samą ma firmę, ponieważ właściciel nosi godność Warszawski. Oba bardzo porządne, zupełnie żydowskie z dobrą zagraniczną publiką, ze sprechen sie deutsch, z parlen sie francais i english. Panowie wołają na cichszej ulicy? Czemu nie? Tu, zaraz niedaleko, na lewo jest „Grand Oteł Lejzerowicz“. Niech panowie się nie boją, że on jest taki strasznie grand. On się tylko tak nazywa, taka jego godność; jest więc w tym Grand Hotelu dwa pokoje: w jednym mieszka Lejzerowicz z rodziną, a drugi to właśnie hotel dla gości. Panowie mogą tam przenocować za tanie pieniądze i wszyscy nawet na łóżku, tudzież z herbatą, kawą i kakaułem na śniadanie, oraz gorące potrawy po cenie: samego drożej kosztuje. Stamtąd jest bardzo malowniczy widok na koszary policji. Z okna co rano można długo się przyglądać, jak ona na podwórku robi sobie maniewry w prawo, w lewo, jeden za drugiego chowaj się, naoborot, smirno, halt. Bardzo przyjemny widok...

Pożegnaliśmy się z nim przy bramie hotelu. Zdjąwszy aksamitny kapelusz, ścisnął nasze dłonie, z wdziękiem i dystynkcją wyrzucając w górę łokieć.

Kiedyśmy w niespełna pół godziny znów wyszli na miasto, on stał w pobliżu, wsparty oburącz na swym krótkim i niepozornym, jak i on sam, kijku. Nie pytając o zgodę, przyłączył się do nas, rozmowny ale poważny, serdeczny, ale i majestatyczny.

— Owszem, teraz istotnie wszystko zamknięte z powodu, że już późny wieczór, zwiedzać więc nie można, chyba, że jutro... Ja nawet od samego rana, dzięki Bogu, mogę być wolny. Meczet Omara? Że to najbliższe? Też, też zamknięty. I tam to kosztuje po 25 piastry od osoby — osiem złotych na naszą walutę; dobry pieniądz za samo popatrzenie na to, co oni zabrali żydom. Po co to im tyle płacić? Przez bramę, owszem, jednym okiem — czemu nie? — można i teraz, bo to księżyc oświecił, że lepiej nie trzeba — i darmo. To jest niedaleko, już w starej Jerozolimie. Idę właśnie w tamtą stronę, mam tam załatwić jeden interes. Jeśli panowie chcą, ja zaprowadzę: pojedziemy razem.

Przśliśmy razem. Idąc, kręcił głową i wzdychał i uśmiechał się, szukał tematu rozmowy, którą chciał nas uraczyć.

— Ja tu od ośmiu lat. Powodzi? Powodzi niekoniecznie, owszem, ale dzięki Bogu, jakoś się żyje. Chciałem tu nawet sprowadzić swego tatuścia i swoją mamunię, ale to dużeby kosztowało pieniądze, więc trudno — co począć? — rezygnam. Panowie się dziwią, że mój tatuś i moja mamunia jeszcze żyją? Ja nie jestem taki stary, tylko tak staro wyglądam. Ludzie myślą, że mam pięćdziesiąt, a ja nie mam nawet czterdziestu. To ze zmartwienie, z kłopoty, dlatego, że się kiedyś bardzo przestraszyłem...

Nie śmiem go spytać, czego się tak przestraszył, że aż mu twarz rozmiękła jakby, że gęste kudły przyprószyła siwizna, że idzie pochylony, krokiem ostrożnie odmierzoną. Mimo żalność, jaką budził, nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu, zestawiając nazwisko naszego przewod-

nika, symbol płochliwości, z jego rasą i wyglądem.

— „Zając po żydowsku“ — pomyślałem, gdy mi się już ułożył obraz z podtytułem.

— Z zawodu to jestem cukiernik — oznajmił z nutą dumy w głosie. — Jakie ja piekłem kiedyś ciasta dla naszych, i dla p.p. chrześcijan! Jakie ja robiłem... Jak to się nazywa, zaraz sobie przypomnę... Takie wysokie... Co? Tak jest, pyramydy. To jak ja kiedyś na imieniny zaniósłem panu staroście taką pyramydę z cukrowymi chryzontami... z orzełkiem i z napisem: „Wiwat“, to starosta aż za głowę się złapał i powiedział tak: „Ty masz geniusz, ciebie za szkoda na nasze miasteczko. Ty mógłbyś nawet gdzie chcesz robić świetne interesy, bo jesteś grzeczny, delikatny i ze smakiem“. No to co panowie powiedzą? To ja sobie pomyślałem: jadę do Jerozolimy, bo tam i świętość na codzień będzie, więc interes też łatwiej wtedy zrobić. I zaraz po przyjeździe zacząłem wyrabiać swoje pyramydy z chryzontem cukrowym i z napisami, to na purym, to na pesach, to na nowy rok i dla naszych i dla p.p. chrześcijan. Ale jak inni zobaczyli moje wyroby, to zaraz i u siebie dawaj tylko pyramydy szykować z chryzantemem. (Ja mówiłem: chryzontem, jak to się zapomina ten swój język!)... Co to ja? Aha, z kwiatkiem znaczy się i z napisem. Konkurencja straszna: nie wytrzymałem. Niech pan na mnie popatrzy: Samson to ja nie jestem, odważny też nie... A tu nie Europa, panowie, tu Azja, a ja zawsze ze wszystkimi grzecznie, jak żaden inny cukiernik, a potem to było nawet tak, że się strasznie przestraszyłem. Wtedy pożegnałem fach i dostałem posadę. Gdzie? Przy cmentarzu. To wysoka posada. Ja panom powiem tak: żaden żyd w Jerozolimie nie może być pochowany beze mnie.

— Od słodkich piramid do kirkutu to niezwykły kawałek drogi — zauważyłem.

Na znak zgody kiwnął głową i rad z siebie, szedł sztucznie wyciągniętym krokiem, wywijając za sobą krótkim swoim kijaszkiem.

— Tu już Azja, proszę panów, tu już jest inna, że tak powiem, kondygnacja. Ale choć tu Azja, choć ja się tu kiedyś bardzo przestraszyłem, to ja tu zostanę. Ja już nie wrócę do Polski. Tu mnie jest — za pozwoleniem — dobrze.

Wchodziliśmy w bramę Damasceńską. Biła z niej ciemność i chłód kamienia. Po rześkiej iluminacji nowych dzielnic stara Jerozolima zdała się być wypełniona mrokiem, który gdzieniegdzie tylko rozpraszały mętne i wątle światła żarówek. Szło się tu po terenie podstępnie nierównym: to w górę, to w dół, to w bok, w gmatwaninie uliczek, zaułków, splecionych z sobą — rzekłbyś w tym chyba celu, iżby obcy czuł tu niepewność i lęk. Uwijał się koło nas tłum ludzi i objuczonych osłów. Jeśli się uwzględni tło, akustykę sklepień, obfitość wnęk i załamań, skłonne do przesady wokalne środowisko — to uderzyć musiał spokój i nawet cisza, zgoła niewschodnia, niearabska, jakby zadumana, czy też pełna respektu dla rzeczy świętych, które tu królują.

W pewnym miejscu przecinamy wąską i ruchliwą uliczkę, opadającą w dół, gdzieś w otchłań księżycowej nocy. To Droga Krzyżowa. Z obu stron kramy i kramiki; ludzie i osły wędrują tym szlakiem, którym ongiś szedł Bóg w chwale Swego poniżenia.

Z jakiejś niszy zrywa się nagle krzyk, brzmiały boleśnie i niecierpliwie, jak wołanie o pomoc. To witał nas w ten sposób czerniawy żebrak, wygodnie rozłożony na wyłysiałej baranicy. Potem znów inny, jeszcze przeraźliwszy wrzask. Tym razem był to sygnał, mający nas ściągnąć do żelaznego piecyka, na którym skwierczały, pryskając łojem, pulpety baranie, arcydzieło ulicznego kuchmistrza.

Staliśmy przed zbitą masą ciemności.

— Czycho! — szepnął cukiernik. — To tu jest brama w tej wieży. Przez szparę możemy popatrzeć na dziedziniec i na meczet Omara.

Stąpaliśmy w milczeniu, ostrożnie. Gdyśmy się wysunęli w czeluść bramy, nagle, całkiem dla nas niespostrzeżenie, jakimś cudownym zaiste manewrem odwrotu, cukiernik znalazł się za nami... Błysnęła ku nam latarka elektryczna, na co i ja odpowiedziałem wyblyskiem swojej. Zobaczyliśmy kilku dryblasów w strojach arabskich i tęgie w łapach pałki. Oczy, złe bardzo, stwierdziwszy, żeśmy Europejczycy, drapieżnie wpiły się w cukiernika. Nawet za naszymi plecami nie czuł się widać bezpieczny, skoro, że użyję jego wyrażenia, odbywał manierwy, niczem ta policja, oglądana z okna „Grand Hotelu Lejzerowicz“: w prawo w lewo, cofnij się, halt!

— Chodźmy — rzekł z godnością. — Oni chcą być dla mnie niegrzeczni. A ja muszę załatwić interes.

Jak interes, to interes. Cukiernik będzie załatwiał swoje sprawy, a my przy tej okazji i za jego przewodem pogapimy się na to najpiękniejsze chyba miasto Wschodu. Więc jeszcze jeden tunel, wypełniony mrokiem, jeszcze zakręt tu i tam, i oto mijamy budkę strażniczą. W budce, przy świetle żarówki, siedzi żołnierz angielski z płachtą gazety na kolanach. Dobrze odżywiony, dobrze ubrany, różowy na twarzy atleta tak był pochłonięty czytaniem, że nawet nie spojrzął w naszą stronę.

— Tu — półgłosem oznajmił przewodnik i skreślił w prawo.

Z nocy wyłoniła się, wspinała w górę chropowata szara płaszczyzna, która oczom, przyzwyczajonym tu do kształtów niskich przeważnie i krępych, wydała się szczególnie lekka i wysoka. Z latarni spływał po tym murze blask, uwydatniając ostre rysy i bruzdy — niesamowite, groźne pismo czasu. U stóp muru, zwróceniu doń twarzą, stali ludzie, jedni nieruchomo, jakby urzecz-

ni tą olbrzymią płytą szarości, inni — szybko kiwający się całym tułowiem. Z lewej strony, zdala od mężczyzn, policzkiem przywarta do muru, szlochała stara kobieta. Co pewien czas w ciszy zrywał się czyjś jęk, pociągał za sobą cały chór coraz donośniejszych jęków i słów niezrozumiałych, a potem znów zalegało milczenie, i słychać było tylko ten chlapiący szloch starej żydówki.

To — „Ściana płaczu“. Mur, w którym zobaczycie wielkie, gładkie bloki, pochodzące rzekomo ze świątyni Salomona. Ściana płaczu, miejsce pielgrzymek i pokutnych modłów Izraela. Tam, za tym murem, w górze, niewidzialny z dołu wznosi się meczet Omara, pomnik zwycięskiego kalifa, największa ponoć po Mekce świętość muzułmańska, w dzisiejszym swym stanie istne cudo architektury arabskiej. Na mocy cichego układu żydom wolno pod tym murem gromadzić się, oddawać się modłom i rozmyślaniom. Gwarantem ładu i spokoju — bo o rozruch tam nietrudno — jest właśnie ten umundurowany Anglik w budce strażniczej.

Dyskretnie stanęliśmy na uboczu, cukiernik zaś zbliżył się do jednego z żydów, który w tej chwili intonował żalosalną pieśń. Pociągnięty za rękaw, odrazu przerwał swe żale i podążył ku latarni, by wspólnie odczytać przyniesiony przez Zająca papier. Cicho cmokając, nawzajem pokazywali sobie jakieś wątpliwe w tem piśmie miejsce. Potem kilka gestów, kilka zdań, rzuconych w dość gwałtownym tonie — i interes gotów. Pokutnik oderwany od modłów, wrócił pod mur i odrazu zaczął lamentować. Zając zaś podszedł do nas z grzecznym ukłonem.

— Już, wielmożni panowie.

Przed bramą hotelu, żegnając się z nami po otrzymaniu honorarium za świadczone nam usługi, stęknął boleśnie.

— Ja bardzo przepraszam panów. Ja bardzo przepraszam za to, co się stało!...

Kosmata jego twarz wyrażała tyle skruchy i strachu, że zawołał:

— Panie cukiernik, pan nas przeraża! Co takiego? O co chodzi?

Stał z kapeluszem, oburącz trzymanym na łonie, zakłopotany i nawet zgnębiony.

— Ja bardzo przepraszam za to, co ja powiedziałem. Niech panowie nie gniewają się na mnie.

— Cóż pan takiego powiedział, u licha?

— Ja powiedziałem... Powiedziałem, że mi się tutaj bardzo podoba i że... że ja już nie chcę do Polski. Panowie mi to przebaczą?

„Sałata“ w Syjonie

Nie widziałem go na oczy, znam go tylko z cudzej relacji. Mówił mi o nim jeden z dziennikarzy, któremu o tym irytującym odmieńcu opowiadał znów komisarz policji w Tel-Awiwie, oficer angielski.

Nie wiem, jak się nazywa, ale przecież nazywać się jakoś musi i mazurskiego nazwiska w Syjonie napewno nie zmienił. Może mu Jan? Niech więc będzie Jan, choćby Poła po ojcach. Dryndziarz, „sałata“. Drzemiąc sobie na lakierowanej koźle, gdzieś w miejscach Warszawy, wyznaczonych na postój, cierpliwie oczekiwał pasażera. Odrabiał dalekie a tanie kursy, targował się z klientelą, wymyślał kolegom po biczu, kłaniał się policjantom, płacił kary. W południe pokrzepiał swoje siły chlebem i słoniną, a co sobotę na noc, pospołu z wszystkimi rzemiosłami, warszawskim zwyczajem spijał się aż do stanu, łączącego w sobie ekstazę i mdłości, rozpacz i nadzieję, ile że czasy szły coraz gorsze. Wiadomo — zwycięska konkurencja taksówek, podatki, no i wreszcie ten kryzys, z piekła rodem, żeby go! A że Poła zaradnością wrodzoną się nie odznaczał, więc kiedy coraz częściej zmieniać musiał stójkę, nie doczekawszy się pasażera, i nawet wracać do domu prawie bez grosza zarobku, postanowił szukać pocieszenia i ratunku aż u grobu Pańskiego. Pielgrzymka do takich dalekich krajów to przedsięwzięcie kosztowne. Poła, chcąc dotrzymać słubowania, sprzedał szkapę, oraz dryndę i, zapłaćwszy gdzie należy i wiele należy, ruszył z kompanią do Ziemi Świętej.

— Oryginał. Bardzo zabawny człowiek — mówił o nim z uśmiechem komisarz angielski.

Nie znam ewolucji, jakie zaszły w dryndziarzu Janie, gdy trza mu było wracać do Warszawy. Dość, że został. Może zdziwiło go to, że w tym dalekim kraju wszędzie można się dogadać po polsku i to może skłoniło go do szalonej decyzji? Nawet w Nazarecie czarniawy Arab, handlujący dewocjonaliami pod kościołem Zwiastowania, wpadłszy w sam środek kompanii ryczał opętańczo:

— Dwa za złoty! Dwa za złoty!

A kiedy Poła przystanął, żeby przypatrzeć się poganowi, mówiącemu jego, Poły, językiem, ten wrzeszczał jeszcze przenikliwiej:

— No, to trzy za złoty!

I już wybierał dla dryndziarza trzy małe koronki z drzewa korkowego.

Zdziwienie Poły jeszcze się wzmogło, gdy się przypadkiem znalazł w Tel-Awiiwie. Duże, czyste, porządne miasto. I jakgdyby nie żydowskie przez to, że same żydy. A gdzie są same żydy a na okrasę tylko Arab, to się żydów w końcu nie widzi. I wszędzie po polsku. Z polikiem też po naszymu, owszem (żyd, jucha, aż wierzyć się nie chce, że to „bury“).

Musiały się tam w tym mazowieckim łbie osobliwe jakieś wyklucć wnioski. Musiały owe gromady żydostwa nasunąć jakieś asocjacje z Warszawą, aż czarną przeciw od żydów, bo Poła został w Tel-Awiiwie. Nie znam jego rozumowań, ale motyw decyzji mógł takie mieć brzmienie:

— Jak nie puszczają ludzi na saksy, to spróbuję na żydy. Taki już mój los. Na sędzie ostatecznym może mi to będzie policzone za różne przewiny. Jeśli tu są same żydy, to jeden drugiego pewnie chce okpić, a jeżeli tak, to rzetelny chrześcijanin napewno tu się przyda i uczciwy znajdzie zarobek. Niech się więc dzieje wola Boża — ostaje.

Kupiwszy sobie na raty dryndę i szkapę, Poła wyjechał na miasto. Zaczęło się od razu od sztrafu i protokołu, bo Polak nie znał ani przepisów tamtejszych ani obyczajów. Warszawskiego dryndziarza Tel-Awiw powitał nieżyczliwie. Żydzi z natury nie są tolerancyjni. Zarobkujący goj w Syjonie raził ich i gniewał. A więc — bojkot. Ale że Poła miał w sobie ducha zuchwałego, stawiał się mocno, z pyskiem wyjeżdżał o byle co, w kaszę sobie dmuchać nie pozwolił i żydowskiego polikiera się nie uląkł — więc chociaż oficiej sypnęły się nań protokoły i kary, wojownicza postawa zrobiła swoje. Jak Poła jednemu i dziesiątemu dobrze nawymyślał po warszawsku, jak konkurenta uraczył biczem — to niechęć wkońcu zmieniła się w sympatię i pewien nawet respekt. Bo w życiu to tak bywa, że albo merdasz ogonkiem i dostaniesz ochłap, ale cię wkońcu kopną, albo sam zagroziysz pięścią, warkniesz, nakażesz sobie posłuch i zachowanie i wówczas — co najważniejsze — nie zemdli cię myśl, żeś sobie na życie psią zarobił pokorą. Poła, konwistador, argonauta, pyskacz i awanturnik, tel-awiwianom przypomniał niechybnie Warszawę, bujność, groźną czasem, jej ulicy. — „Pojadziem, panie kupiec“ — pytał przechodnia, chwytając za lejce. — „Po warszawsku zawiezę, po kawalersku. Wyda się panu kupcowi, że jadziem alejamy, do Marcelina“. Uwodził miną, rozmachem, grał na sentymencie, na wspomnieniu tamtych czasów. Jeździł ostro, z fantazją, nie zważając na upomnienia i prośby pasażera. („Tylko spokojnie, panie Poła, nie tak prędko, ja się nie śpieszę, ja mam czas, mnie doktor zabronił szybkiej jazdy!“) A Poła nic: rwie naprzód, lejców popuszcza, lekkim kłaskaniem podnieca konia do pędu, i gna, aż furczą na asfalcie koła powozu, ciska autom i przechodniom ostrzegawcze a gniewne „na bok!“ i pędzi. pędzi, jakby na złość przepisom, nieczuły na sygnalizację polismenów.

— Niekiedy słyszę krzyk przed domem, gdzie się mieści mój komisariat — opowiadał Anglik. — Wiem, że to wasz Poła idzie pod konwojem policjanta, że coś zbroił. Z angielszczyzną stoi on nie tęgo, ale przy pomocy tłumacza zawsze coś tam z jego obrony zrozumie. Poła, rzecz jasna, zawsze niewinien. Zawsze na świadków powoła wszystkich świętych i Madonę („Panie komisarzu, na Matkie Boskie, to ja zaczął? To on, psie nasienie, zajechał mi z boku, więc ja mu delikatnie, pszoł, no i bat mi jakoś skiknął sam do niego... Alboż to żyd, panie komisarzu, da sobie z parą koni radę?“). Zabawny jest ten wasz Poła.

— I co mam z nim począć? — mówi dalej komisarz. — Stoi przedemną, mnąc w łapach czapę, na znak skruchy, patrzy niebieskimi oczyma rzewnie i szelmosko... Co mam z takim zrobić, kiedy wobec niego sam czuję się bezbronny?

Jedno słowo komisarza i żydowski policjant puszcza Połę, który przed odejściem musi wysłuchać zapowiedzi, że jeżeli kiedykolwiek jeszcze i t. d.

— Za parę dni ta sama historia. („Panie komisarzu, na Matkie Boskie, to niby ja, winowaty? Ja dwadzieścia lat jeździł nie byle gdzie, bo po samej Warsiawie, panie komisarzu?“). Oryginał ten wasz rodak, no i awanturnik zamiłowany!

Kiedy myślę o tym człowieku, to nie mogę znaleźć dlań właściwego określenia. Szabesgoj czy pokutnik? Desperat czy spryciarz?

Wiem tylko jedno: że za trzema morzami w morzu obcości jest sam jeden. Dlatego mi go żal.

Powrót na północ

Nie zauważyliśmy nawet, jak i kiedy weszli oni na pokład „Polonii“. Bo i trudno było na co innego patrzeć, niż na Jaffę. Jaffa z pokładów naszego okrętu, który stał o dwa kilometry od lądu, o zachodzie słońca była, jako zjawisko świetlne i kolorystyczne czemś nieprawdopodobnym, istną malowaną reklamową, obliczoną na ubogą wyobraźnię i na nawykłe do szarzyzny oko. Słońce, zawieszone za nami nad samą linią widnokregu, jak reflektor oświetlało ląd, będący wschodnią krawędzią morza. Jaffa płonęła różowo i czerwono, między zaś nią a nami była zimna w tonie, głęboko granatowa płaszczyzna wód. I te następne chwile, minuty, kwadranse, kiedy Jaffa gasła, ciemniała, aż zmieniła się w rój świateł i migotów, w gmatwaninę ściegów ognistych, znaczących linie ulic i uliczek. Potem, na trzykrotny głos syreny okrętowej, drgnęło coś pod naszymi stopami, coś się zachybotało, miętko coś plusnęło za burta — i kłęb ogni na lądzie zaczął się cofać, maleć, tajać. Aż wszystko znikło w bezświetlnej pustce, która oblewała nas wilgotnym, ciepłym oddechem.

...Zobaczyliśmy ich dopiero nazajutrz po śniadaniu. Była to jakgdyby nagroda za markotną świadomość, że każde drgnienie turbiny oznacza powrót na północ. Należało się nam zatem nieco humoru, ździebełko uśmiechu, odrobinę rozrywki, choćby nawet zaprawionej okrucieństwem. A tych dwoje tak się nadawało na dziwowisko!

Siedzieli obok siebie na pokładzie w doskonałym milczeniu, całkiem nie zważając na to, że

stają się przedmiotem naszego, trochę już natarczywego zaciekawienia. On mały, okrągły, jakby złożony z kopulastych wypukłości, przyczem okrągłość jego jeszcze bardziej uwydatniał długi cybuch fajki. Nawet fez tego Turczyzna wierzch miał wypukły, kopulasty, świetnie uzupełniający okrągłą całość. Ona zaś, w perkalowej półwłóczystej sukni, krępa, kulista, niższa jeszcze od niego, ale znacznie tętsza, zdawała się być kupką żywego tłuszczu, wcieleniem jakiejś humorystycznej wizji. Ciepłe, nierówne powiewy morza co chwila odchyłały welon, a wówczas widzieliśmy wypukłą, okrągłą twarz, ciemną w kolorze, a dobrze już przywiedłą, upiękzoną dodatkowymi wypukłościami nosa i brody. Wtedy on odrywał rękę od cybucha i welonem starannie zasłaniał obnażane przez wiatr oblicze swojej damy.

— Kto to? — zapytałem marynarza, który w tej chwili zaciągał pokładowe płótna, mające chronić nas przed mocnym słońcem Wschodu.

A więc to było małżeństwo, bardzo jeszcze świeże, bardzo orientalne. On, Turek, z jakiejś wyspy greckiej, wracał właśnie z pielgrzymki, odbytej do świątyni Omara. W Jerozolimie, po złożeniu hołdu dziełu, oraz ceniom zwycięskiego wodza i potomka proroka, na pamiątkę pięknej podróży kupił sobie okazji — żonę, niemłoda już, ale za to tłustą Arabkę. Załatwiwszy formalności, wracał do domu, pogodny, zadowolony z siebie, z życia, a przede wszystkim z nabytku.

Rozciągnięci na leżankach, w milczeniu oglądaliśmy tę egzotyczną parę. Mieliśmy w naszym towarzystwie stadła, jak to bywa pod koniec wycieczki: znużone, milczące na kwaśno. Tak, jak to się zdarza u schyłku zbiorowej, a bądź co bądź uciążliwej podróży, wymagającej wysiłku nerwów i mięśni, oprócz tego zaś — harmonii celów i odczuwań. A tutaj, — nietrudno się domyślić, co się w te dni na ładzie dziać mogło czy też musiało: pan jedno, a pani drugie, pani to, a pan owo. W wyniku — cierń wzajemnej urazy o byle

co, a właściwie o wszystko: a że pan nie chciał osobiście dźwigać jakiegoś pakunku, pani zaś, zamiast zwiedzać, biegać, podziwiać, trwoniła czas i pieniądze na zbędne zakupy lub na pisanie kart do przyjaciółek, a przede wszystkim do nieprzyjaciółek.

Ah, i ten przedwczesny powrót na północ, gdy radio opowiada o deszczach i ziąbach w Warszawie, kiedy tu słońce, niebieski bezkres i ta świadomość, że jest się daleko w świecie, że nieustannie towarzyszą nam zawistne myśli tych, którzy zostali w kraju i którzy, gdy wrócimy pięknie opaleni, oczarowani, powitają nas grymasem wzgardy:

— „Już koniec? Tak szybko? Czy warto było na dwa tygodnie? Co to musi być za męka! Za nicbym w takich warunkach nie pojechała. Doprawdy, podziwiam państwa, że się wam chciało. Jabym za nic, za żadne skarby. Nie, za nic!“

Cierpkie zatem było na pokładzie milczenie, choć dzień świecił słońcem i morzem, a z widnokręgów wynurzały się i znów w głębinach ginęły zarysy wysp i łądów.

Jeden z panów, istna agencja, dostarczająca nam wszystkich o wszystkim wiadomości, wychynął z pod pokładu, dumny z siebie i podniecony.

— Już wiem! Wiem już wszystko!

Wzrokiem wskazał dwa fotele, że tak powiem, aż po brzegi wypełnione wschodnią parką, która delectowała się pogodą i atmosferą komfortu.

Nasz żywy dziennik szalał z zachwyty.

— Wyobraźcie sobie państwo, że ten oto okrągły Turek kupił na łądzie dwa bilety okrętowe...

— Cóż w tym dziwnego że kupił dwa bilety? — zauważył ktoś bardzo zgryźliwy, umęczony niestrawnością, brydżem i przewagą kobiet w towarzystwie. — Skoro się ma żonę z takim tonażem, to trudno ją umieścić na siatce razem z

walizką lub nad łóżkiem na cypelku do wieszania zegarka...

— Zaraz, zaraz. Pozwólcie mi państwo mówić. Więc kupił jeden bilet drugiej klasy dla siebie, drugi trzeciej, dla żony.

— Co takiego? — oburzyła się jedna z naszych pań, cała w bieli, cała w obłokach perfum i melancholii.

— Nie przerywaj kochanie — prosił damę jej małżonek snać niezwykle zaciekawiony „agencyjnym“ komunikatem.

— Ależ tak! Słowo daję, że tak! Kiedy wczoraj wdrapali się na pokład, przyczem ona aż ugięła się pod ciężarem dźwiganych ładunków...

— Co takiego? — znów krzyknęła gorzko pani w bieli, urażona do żywego.

— Nie przerywaj, kochanie — powoził swą prośbę małżonek. — To bardzo interesująca opowieść.

— Posłuchajcie, państwo. Kiedy zatem doszło do podziału miejsc, oficer dyżurny, obejrzawszy bilety, zaprotestował łagodnie. „Szanowny panie“ — rzekł. „Zaszło tu jakieś nieporozumienie. Pan ma drugą klasę, — pani zaś trzecią. Powinno być wręcz odwrotnie“. Turek łypnął oczyma, poczem tak odpowiedział: „Niemasz tu żadnej omyłki, szlachetny panie. Albowiem to ja jestem we własnej osobie, a to jest tylko moja żona.“ „Otóż to“ — rzecze nasz oficer. — „Żona dostanie drugą klasę, pan zaś pójdzie do trzeciej“. Turek cierpliwie wyluszczał swoje racje: „Szlachetny panie, nieporozumienie dopiero wyłania się teraz. Przecież mąż to jestem ja, więc mam pojechać piękniej i wygodniej, a ta osoba jest tylko moją żoną, szlachetny panie. Musi być zachowany porządek i przestrzegana sprawiedliwość nie tylko na lądzie, ale i na morzu.“

— Nie przerywaj, kochanie — błagał olśniony opowieścią pan, widząc, że jego biała małżonka wykonała jakiś groźny gest.

Nasz dostawca wiadomości był bliski ekstazy.

— Ależ pozwólcie mi państwo skończyć! Co to ja takiego... Aha! Oficer zaczął tedy coś tam o porządkach, obowiązujących na polskim okręcie, a przede wszystkim o polskim obyczaju. Turek zaś swoje: „Szlachetny panie, przecież to moja żona, a mąż mojej żony, to nie to samo, co żona, a tym mężem to jestem ja we własnej osobie. Czybyście, gaurzy, nie odróżniali szat niewieścich od męskich? Czyżbyś mnie, szlachetny panie, brał za moją żonę, a żonę za mnie? A mój fez, a mój zarost — to nic nie znaczy?“ Wprawdzie trudno się było z nim dogadać, ale po długich i ciężkich sporach Turek dopłacił różnicę w cenie i miał już dwa bilety drugiej klasy. Najciekawsze jednak było to, co wschodni oblubieniec powiedział swojej oblubienicy: „Od świątyni Omara do mego domu droga niby niedaleka, ale — na Allaha! — zanim cię wprowadzę pod mój dach przejść trzeba przez otchłań barbarzyństwa. Musisz mi to wybaczyć, że tak się stało, albowiem nie ja wykopałem i wodą słoną wypełniłem morze i nie mój to jest okręt, jeno tych dzikusów.“

— I co? — rozległo się pytanie białej pani.
— Czyżby przebaczyła?

— Niewątpliwie przebaczyła.

Ciche westchnienie.

— My **jestośmy** zawsze i wszędzie takie, niezależnie od rasy, od obyczaju. Zawsze i wszędzie przebaczamy.

Małżonek białej pani głośno snuł swą myśl:

— Czy nie sądzicie, państwo — rzekł głosem, w którym czuło się akcent cierpienia. — Czy nie zdaje się wam, że jednak dużo jest prawdy w tem co się mówi o demoralizującym wpływie europejskiej cywilizacji, cywilizacji ponoć już schyłkowej...

Przerwał mu niecierpliwym głosem białej pani, rozłożonej na leżaku w obłokach perfum i melancholii.

— Wyrażaj się jaśniej, ale i oględniej, mój drogi.

A jej „drogi“, zoczywszy właśnie przechodzącego obok oficera rzekł:

— Panie poruczniku, my tu rozmawiamy o tej wschodniej parce i o pańskiej interwencji. Czy jednak nie uważa pan, że może należałoby uszanować obyczaj, zwłaszcza taki, który opiekuje się mężami swoich żon? Czy...

Nie dokończył, ponieważ poskromiła go cierpka perora.

— Mój drogi, ty najwyraźniej demoralizujesz polską flotę i to na dalekiej obczyźnie. Ty, mój drogi, uprawiasz porpagandę wybitnie antypaństwową i możesz być za to skazany przez sąd morski na dożywotnie...

Kwaśny pan kwaśno się roześmiał?

— Na dożywotnie? Co dożywotnie? Małżeństwo, chciałaś pewnie powiedzieć? Zrobione, owszem. Wyrok wydany, wyrok losów, który choć zapadł na lądzie, obowiązuje, niestety i na dalekich morzach...

Pani milczała z przymkniętymi oczyma. To był krótka chwila głębokiego cierpienia i głębokiej rozwagi. Potem sypnęły się słowa, w treści pieszczotliwe, nawet miłosne. w brzmieniu tylko żłekka syczące, ale rytmiczne i stanowcze:

— Kochanie, podaj mi etolę... O, tak, okryj mi nią ramiona. Popraw mi teraz pled... Daj złotko, papierosa... i ognia, mój drogi. Przesuń następnie mój leżak, bo mi słońce świeci prosto w oczy... Ah, gdzie są moje szkła! Dziękuję, skarbie. Teraz podaj mi lusterko, kotku... I książkę... I jeśli łaska, pójdź do baru i przynieś mi coś do picia... Po drodze zaś zajrzyj, mężulku, do naszej kabiny i zabierz moją torebkę... i wieczne pióro... I kartki pocztowe.

Rozkazy padały jeden po drugim, wykonywane szybko, sprawnie, karnie, bez słowa protestu. Manewry udały się znakomicie. Biała pani, przy-

iożywszy do oczu szkła na złotym patyczku, słała wschodniej piękności porozumiewawcze spojrzenia.

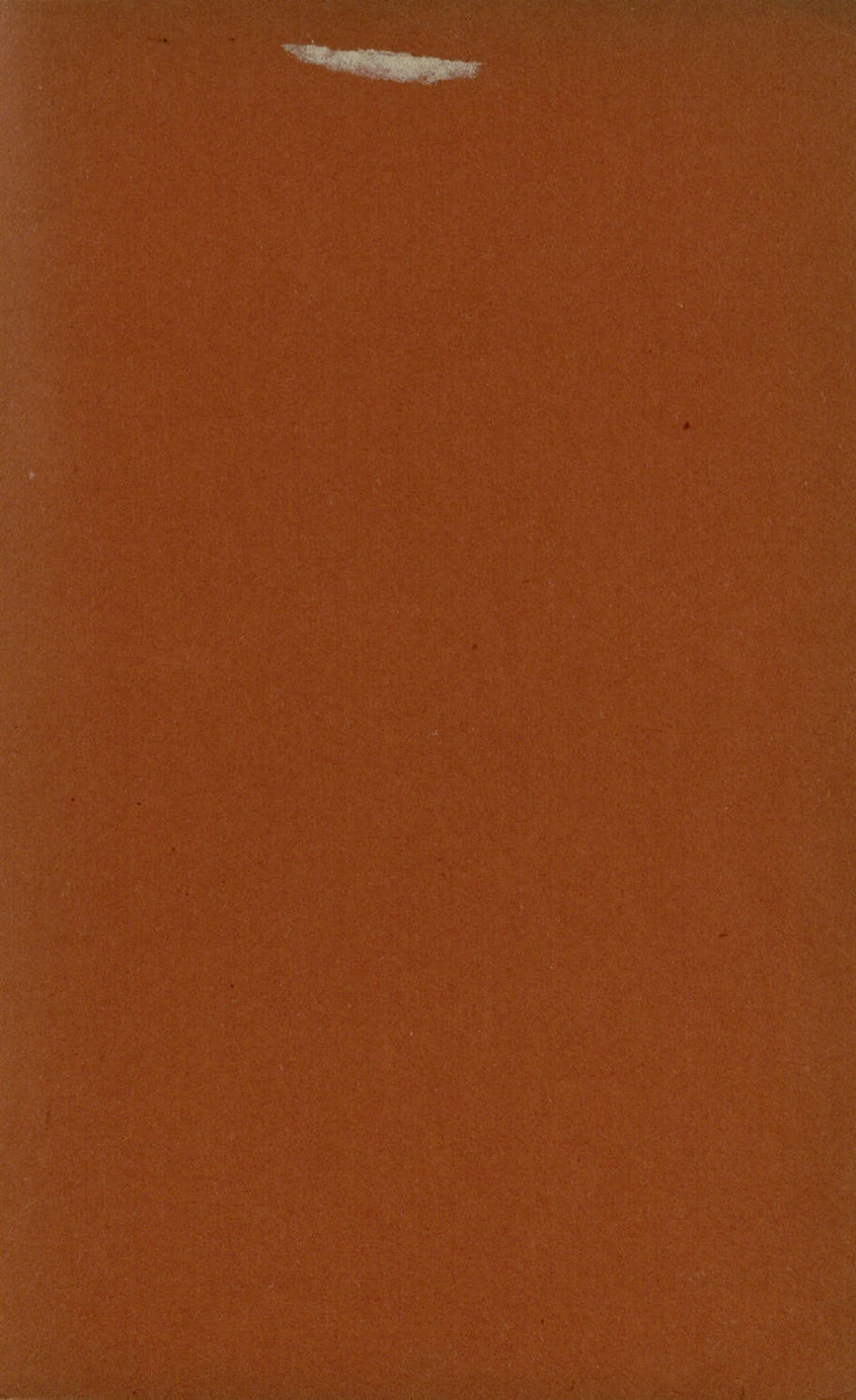
Spokojny dotąd, rad z siebie, z życia i z okazynego nabytku Turek poruszył się nagle... Wyjawszy z ust cybuch, rzucił jedno tylko słowo. I zawołowana jego własność razem z fotelem wykonała zwrot wstecz, szybko, karnie, bez słowa sprzeciwu, bez sekundy namysłu. A po chwili i on sam pokazał nam swoje plecy, z których wyrastała kulka głowy w kopulastym fezie, spowita w kłęby tytoniowego dymu.

Sprawiedliwy ten i bogobojny mąż chciał prawowitej swej małżonce, i tak już skrzywdzonej przez interwencję niewiernej władzy, zaoszczędzić niezwykle gorszącego widoku.

SPIS RZECZY :

	Str.
Trzy dni z „Chalucami“	3
Nahalal i Palestyński Pińsk	9
„Wzgórze wiosny“	17
I będziesz zbudowane...	22
Mit Nowego Syjonu	28
Okręt czy most	40
A jednak — most	45
Ziemia dwakroć obiecana	53
Grzeczny Zając	62
„Sałata“ w Syjonie	70
Powrót na północ	74





3150